

# odgłosy



Nr 48 (352)  
29. XI. 1964 r.  
10 stron  
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII



ZOFIA LORENTZ

## W PEWNYM DOMU NA ULICY SKRZYWANA

Do przedwojennego Domu Noclegowego przy ul. Wolność nr 16 w Warszawie, nieletni zgłaszali się sami. Do dzisiejszych Izb Dziecka, a ściślej mówiąc do Izb zatrzymanych dzieci, przywozi ich względnie przyprowadza milicja. W Łodzi taka Izba mieści się w pofabrykanckim pałacyku przy ul. Skrzywana 14. Od razu zewnętrzny wygląd tego budynku nasuwa podejrzenie, że z jego mieszkańcami coś nie jest w porządku, wszystkie okna bowiem zabezpieczają mocne kraty. Wprawdzie

bywalcy tego przybytku to tylko dzieci, ale takie dzieci, które potrafią „zorganizować” sobie ucieczkę.

Izba zatrzymanych istniała w Łodzi i przed wojną, nie znam jednak danych o jej ówczesnych poczynaniach. Wiem tylko, że po wojnie wznowiła swą działalność już w roku 1946, mieszcząc się przy ul. Koperska, a od r. 1949 zmieniła swą siedzibę na obecną.

Nie ma bardziej złudnej rzeczy jak statystyka! Przeglądam cyfry przepływu rocznego nieletnich lat 1957 i 1963, i... chwytam się za głowę: 1.000 i 2.400. Więc aż taki wzrost przestępczości nieletnich?

Mój rozmówca, a jest nim kierownik Izby, porucznik MO, ob. Wawrzynkowski

uśmiecha się. — Wśród tych 2.400 jest mniej przestępców niż było wśród tysiąca z roku 1957 — mówi.

Jakże to jest możliwe?

Okazuje się, że bardzo prosto: od roku 1962 milicja wprowadziła zasadniczą zmianę w charakterze swej działalności: z wyłącznego tępienia przestępstw u nieletnich — przeszła na profilaktykę przestępczości. Eksperyment?

— Można by to nazwać eksperymentem — zgadza się ze mną por. Wawrzynkowski — w każdym razie jedną z prób dojścia do celu, to jest do zmniejszenia

Dalszy ciąg na str. 4

JAN RAWSKI

## Pierwszy rok PRACY

Nie jestem dwudziestolatkiem, nie rosłem wraz z Polską Ludową, ale wiele Jej zawdzięczam. Należę do pokolenia gorzkiego, które przeszło wojnę, a swą młodość poświęciło zdobyciu wykształcenia i znalezieniu miejsca w społeczeństwie. Dlatego nie miałem czasu na nudę i bezideowość, a wojna nauczyła mnie cenić trzy najważniejsze według mnie rzeczy: człowieka, czas i — pracę. W okresie pogardy i zdziczenia marzyłem o czasach, gdy człowiek stanie się najwyższą wartością, gdy wszystko będzie się czynić z myślą o nim i dla niego, gdy powstaną takie stosunki społeczne, że człowiek przestanie się kłopotać o chleb i o to czy wychowa swe dzieci.

Zaczynałem studia w wieku, w którym inni — szczęśliwsi ode mnie — już je kończyli i może dlatego właśnie uważam, że czas to cenna rzecz w życiu człowieka i przeważnie niedoceniona. Ten dystans lat wyrobił we mnie przekonanie, że nie wolno mi marnotrawić czasu, że powinienem spieszyć likwidować wyrwę pięciu lat życia, wydartych mi przez wojnę. Przeskakiwałem klasy, by tylko przedzej zrobić maturę, pracowałem i studiowałem na uniwersytecie (jeszcze wtedy było to możliwe); w ciągu czterech lat złożyłem przewidziane programem egzaminy i jako pierwszy z mego roku ukończyłem studia. Zostałem nauczycielem, mimo że zbytnio nie kwapiłem się do tej pracy. Brak tzw. powołania i 760 zł nauczycielskiej pensji wyraźnie mnie odstraszały od tego zawodu. No, ale zbiorowe wysiłki członków komisji przydziału pracy (był to rok 1951) i mój brak sprytu życiowego przekonały mnie gruntownie, że nie mam co wybrzydząć na warunki pracy i uposażenia, bo lepszej nie znajdę. Dziś już mam za sobą dwanaście lat pracy w różnych szkołach, z różną młodzieżą i z różnymi — powiedzmy sobie szczerze — wynikami.

Kiedy z perspektywy dwunastu lat spoglądam w przeszłość, rozumiem teraz dlaczego zostałem nauczycielem. Lubię ten zawód i cenię go za jego wysoką społeczną rolę w kształtowaniu młodego pokolenia. Ale czy o tym wiedziałem od początku? Wiele oporów i sprzeciwów w sobie samym musiałem przezwyciężyć, aby dojść do takiego przekonania. Właśnie o tym, jak praca z młodzieżą zaczęła mnie powoli wciągać i interesować, chciałbym tu opowiedzieć wybranymi fragmentami swych pamiętników.

\* \* \*

30 SIERPNIĄ 1951 R.

Byłem dziś na zebraniu rady pedagogicznej. Pierwszy raz zdarzyło mi się uczestniczyć w tego rodzaju posiedzeniu. Dotychczas raczej z pewnym niepokojem wyczykiwałem na decyzje ludzi, mających bądź co bądź znaczny wpływ na moje losy. Nie zawsze było się tym wzorowym uczniem, dlatego i niepokój był usprawiedliwiony, i szacunek dla misterium, noszącego w życiu szkoły dźwięczną nazwę „konferencja rady pedagogicznej” był uzasadniony również. A oto stałem się jednym z wziętych i w przyszłości będę decydował o takich, jak ja. Hm, to nawet może i ciekawe? W każdym razie na tej konfe-

Dalszy ciąg na str. 3



Ledwo przeminęły echa wyborów w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, a już słowo: wybory ponownie przewija się przez szpalty gazet. Tym razem w odniesieniu do Włoch, gdzie w niedzielę odbyły się wybory samorządowe, i Francji — w związku z upływem w roku przyszłym kadencji prezydenckiej.

Właśnie w ostatnich dniach przeprowadzono we Francji ankietę, której wyniki mogą zainteresować naszych Czytelników.

Wykazuje ona, że jeśli de Gaulle wysunie swoją kandydaturę, zamierza na niego głosować ok. 42 proc. zapytanych, podczas gdy na Gastona Defferre — 14 proc. Pozostali nie mają jeszcze zdania. Równocześnie 54 proc. objętych ankietą wyraża zadowolenie z działalności de Gaulle'a, 33 proc. natomiast nie aprobuje jego polityki.

Ankieta zawierała jeszcze jedno interesujące pytanie: na kogo będziesz głosował, jeśli de Gaulle nie zgłosi kandydatury?

Odpowiedzi są następujące: na Pompidou (obecny premier) — 23 proc., na Defferre — 20 proc. 43 procent zapytanych nie ma zdania, inni wręcz uchylili się od odpowiedzi.

W świetle tych wyników, tym bardziej może zaciekawiać, czy de Gaulle, mimo swojego wieku, będzie miał dość siły, by ponownie ubiegać się o fotel prezydencki. Podróż do Ameryki Łacińskiej wydaje się dawać odpowiedź twierdzącą, a drugiej jednak strony wiadomo, że cała rodzina prezydenta doradza mu już odpocząć.

Myśle jednak, że powyższego dylematu nie można rozpatrywać jedynie na płaszczyźnie osobistej, pomijając aspekt polityczny.

Szeń państwa francuskiego nie tylko przecież nie osłabia, lecz wręcz odwrotnie — wzmacnia na arenie międzynarodowej trudną gre polityczną. Czy miałyby to wskazywać, że zamierza zrezygnować z władzy w ciągu roku?

Chyba nie. Nie można jednak w tym rozważaniu pominąć i przyszłowiej drugiej strony medalu. Pisaliśmy już niejednokrotnie o rosnącym niezadowoleniu społeczeństwa z polityki de Gaulle'a. To niezadowolenie udziela się również niektórym kołom we Francji.

„Combat” np. pisze na ten temat: „Jego (de Gaulle'a — przyp. W. S.) polityka zagraniczna zbyt wiele siewiera w sobie chęci panowania i braku solidarności, aby mogła nie niepokoić...”

Gdyby te tendencje miały narastać — de Gaulle z pewnością posłuchałby... rad rodziny. Wydaje się jednak, że więcej w tych usłuchach jest „pobożnych życzeń” niektórych kół niż odzwierciedlenia faktycznej sytuacji wewnętrznej.

Z Francji przenieśmy się do Włoch. W niedzielę w 74 prowincjach i ponad 6.700 gminach odbyły się wybory samorządowe (w ok. 230 gminach nie zostały odnowione, ponieważ z różnych

powodów odbyły się tam już po roku 1960). Rozpisano je, po wielkiej i zaciętej polemice, w październiku br. Przeciwno wyborom w jesiennym terminie opowiadało się m. in. kierownictwo partii socjalistycznej z uwagi na niepowodzenia rządu centro-lewicowego. Zwłaszcza w sytuacji wewnętrznej.

Tuż przed wyborami rzymski korespondent „Financial Times” tak przedstawił włoskie aktualia:

„Ponad milion osób w budownictwie i przemyśle maszynowym ma zredukowany tydzień pracy, a tym samym zarabia mniej. Wiele milionów żyje w strachu przed utratą pracy. Bezrobocie przestało być zapomnianym już aspektem „cudu”

I w innym miejscu: „Dla wyborcy większe znaczenie będzie miało prawdopodobnie to, że jego zarobki są mniejsze niż rok temu, a jego zdolność nabywczą znacznie spadła na skutek wyższej cen”.

Jak nasi Czytelnicy zapewne pamiętają, w kwietniu ub. roku odbyły się we Włoszech wybory powszechne. Od tego czasu rząd centro-lewicowy ma już drugie wcielenie, a jego program, odwołujący się do zobowiązań, spotyka się z częstym niezadowolaniem. Próba się, jaką w tej sytuacji miały stać się wybory samorządowe, pilnie śledzili więc opinia publiczna.

We wtorek rano nie znamy jeszcze wyników. Wiemy natomiast, że wyborom towarzyszyła wysoka frekwencja i już w pierwszym dniu głosowania — w niedzielę 75 proc. wyborców spełniło swój obowiązek. Tak duża aktywność może być miernikiem sprzeciwu Włochów wobec niekonsekwentnego postępowania rządu centro-lewicowego.

Podczas gdy Europa zachodnia zaprzęgnięta jest bez reszty swoimi wewnętrznymi i wspólnotanickimi kłopotami — w Nowym Jorku trwają przygotowania do otwarcia kolejnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Zastrzegając sobie prawo powrotu do tego tematu chciałbym dziś zwrócić uwagę tylko na jeden szczegół — wypowiedź sekretarza generalnego ONZ — U Thanta. W liście do 10 tys. słów wstąpił do rocznego raportu, jaki ma być przedstawiony w dn. 1 grudnia Zgromadzeniu, znalazł się następujący fragment:

„Uznając w pełni istniejące trudności polityczne zastanawiam się, czy nie nadszedł czas, by inne kraje nie reprezentowane obecnie w Nowym Jorku miały możliwość utrzymania kontaktów z tą światową organizacją... W ten sposób kraje te mogłyby użyć platformę do dyskusji i wypowiadania swoich poglądów”.

Agencje zachodnie niemal zgodnie podkreślają, że chociaż U Thant nie sprzecyzował, jakie kraje ma na myśli, chodzi tu z pewnością o uchylene drzwi do ONZ Chińskiej Republiki Ludowej, a — być może — również wschodniemu Niemcom. Oczywiście, otwiera to komentatorom szerokie pole do spekulacji.

Z innych propozycji U Thanta wymienić trzeba apel o rozpoczęcie rozmów między pięcioma mocarstwami nuklearnymi, ponieważ „niebezpieczeństwo rozprzestrzeniania się broni jądrowych poważnie wzrosło”. Nadszedł czas — stwierdza raport — dla podjęcia takich decyzji, które miałyby „pozytywny i dalekosiężny wpływ na międzynarodowy klimat polityczny”.

W. SŁAWSKI

# Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA,  
15 LISTOPADA

Coraz wyraźniej zawiązuje się nowy sojusz wojskowy amerykańsko-niemiecki, oddający militarizm z Bonn wspólnie nad uzbrojeniem nuklearnym NATO. Oświadczenie TASS ostrzega przed zwiędzszymi konsekwencjami utworzenia WSN.

W Moskwie 92 amerykańskich handlowców bierze udział w konferencji okrągłego stołu. Należy oczekiwać, iż wyniki tych rozmów będą dodatnio rzutować na sprawę wymiany handlowej radziecko-amerykańskiej.

Dyrektor słynnego gabinetu figur woskowych Madame Tausaud usunął z ekspozycji figurę Barry Goldwata: „Leży na strychu — wyjął dziennikarzem. — I kto wie, czy się jeszcze kiedy na coś przyda...”

POWIEDZONKA:

„Musi krzyknąć, kto chce być dziś wysłuchany”.  
Graham Greene

„Zbytne zbliżenie stanowisk może być szkodliwe: grożą wtedy bezpośrednie starcia”.  
James Osborne

PONIEDZIAŁEK,  
16 LISTOPADA

W walkach na granicy izraelsko-syryjskiej zginęło 10 osób, a około 40 zostało rannych. Sprawa stała na porządku dzisiejszej sesji Rady Bezpieczeństwa.

Nad terytorium Chińskiej Republiki Ludowej został zestrzelony amerykański bezzałogowy samolot zwiadowczy.

DWIE WYPOWIEDZI NA TEN SAM TEMAT:

„Wielka Brytania nie zamierza odwracać się plecami do Europy”.  
Gordon Walker

„Drzwi powinny być otwarte dla Wielkiej Brytanii”.  
G. Schröder

Dawid Ben Gurion przeznaczył w funkcji przewodniczącego partii Mepai.

W Bogocie (Kolumbia) policja ujęła sprawcę strzelaniny, którą początkowo przyję-

to za sygnał nowego przewrotu. Zatrzymany, ku konsternacji policji wyznał, że strzelał tylko do tych, którzy na promenadzie chodzili z głośno grającymi odbiornikami tranzystorowymi.

Australia zarzuca dotychczasowy system monetarny oparty na wzorcu brytyjskim i przechodzi na system dziesiętny, dolarowy. Prasa brytyjska donosi o tym nie bez gorczy.

WTOREK,  
17 LISTOPADA

Zakończyło się kolejne Plenum KC KPZR: podjęto uchwały o połączeniu przemysłowych i rolniczych organizacji partyjnych oraz dokonano szeregu zmian personalnych w składzie Prezydium KC KPZR.

Premier Wilson zamierza złożyć wizytę w Moskwie — zapewne jeszcze w grudniu.

CZWARTEK,  
19 LISTOPADA

Radziecko-amerykański układ dotyczący odsalania wody morskiej jest — wg słów ambasadora Kohlera — „symbolem postępującej normalizacji stosunków między obu mocarstwami”. Min. Gromyko po podpisaniu układu oświadczył, że jest to pozytywny krok w dziedzinie odprężenia międzynarodowego. ZSRR czynić będzie nadal wysiłki, by doprowadzić do układu rozbrojenowego, gwa rantującego wykorzystanie energii atomowej tylko dla celów pokojowych.

Sekretarz Stanu Robert McNamara wzywał w przededniu wyborów wszystkich żołnierzy amerykańskich do poważnego traktowania swych wyborczych obowiązków obywatelskich.

Gdy McNamara zjawiał się w lokalu wyborczym by oddać głos, okazało się, iż sam nie sprawdził ani swej obecności na liście wyborczej, ani nie dokonał pozostałych niezbędnych formalności.

PIĄTEK,  
20 LISTOPADA

800 spadochroniarzy belgijskich gotowych do natychmiastowego podjęcia akcji zbrojnej wyładowało na brytyjskiej Wyspie Wlebowstąpienia. Ten korpus interwencyjny jest widomym znakiem agresywnych poczynań neokolonizatorów współdziałających z Czombie w walce przeciw kongijskim patriotom.

W Austrii, na skutek długotrwałych opadów w odległości 30 km od Innsbrucku osuwa się góra zagrażając okolicznym wioskom. Ludność częściowo już ewakuowano.

Profesor Colonetti w liście otwartym zwraca uwagę rządowi włoskiemu, że każda silniejsza burza może już dziś obalić słynną krzywą wieży z Pizy, a sprawa jej konserwacji i zabezpieczenia wciąż nie wychodzi z fazy wstępnych dyskusji.

SOBOTA,  
21 LISTOPADA

Zakończyło prace II Plenum KC PZPR. Podjęte zostały uchwały o zadaniach organizacji i instancji partyjnych w ujawnianiu rezerw i doskonaleniu planowania.

przyjęto sprawozdania o rozmowach kierownictwa PZPR z kierownictwem KPZR, wybrani zostali nowi członkowie Biura Politycznego, Sekretariatu i Komitetu Centralnego.

Cicho i niesławnie zakończyła wizytę na wodach japońskich amerykańska atomowa łódź podwodna, Sea Dragon.

Bonn szuka coraz nowych usprawiedliwień dla decyzji o przedawnieniu zbrodni hitlerowskich. Ostatnio opublikowano wynik badania opi-



Premier Wilson i nowa polityka ekonomiczna.

Na brytyjskie embargo dotyczące sprzętu wojskowego i uzbrojenia dla Republiki Pół-Afrykańskiej rząd tego kraju odpowiedział groźbą zerwania umów dotyczących brytyjskich baz wojskowych.

Portugalia i Hiszpania zamierzają przy pomocy NRF wybudować wspólnie siłownię nuklearną. Wiadomo o co chodzi w istocie Salazarowi i Franco.

Płd. Wietnam. Wobec kompromitującego flaska dotychczas stosowanych środków ostrożności w walce z partyzantami, eksperci wojskowi zalecają użycie gęsi dla wzmocnienia czujności nocnych posterunków wartowniczych.

Nigeria: W związku ze zbliżającymi się wyborami rząd wydał zakaz noszenia haków, oszczepów, maczug i broni palnej w lokalach wyborczych.

ŚRODA,  
18 LISTOPADA

U Thant oświadczył, że kryzys finansowy zagraża istnieniu Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Sekretarz stanu McNamara przyznał, że artyleria Patet-Lao zestrzeliła nad Laossem amerykański samolot myśliwski.

Min. Ekin na paryskiej radzie NATO przyznał, że spotkał się w Moskwie z przyjaznym i rzeczowym przyjęciem. Jednocześnie w prasie tureckiej ukazała się wiadomość, że Turcję odwiedził — po raz pierwszy od lat 30 — rządowa delegacja radziecka.

Światem wstrząsnęła wiadomość, że Beatlesi przezywają poważny kryzys: „Mamy siebie nawzajem dość” — oświadczył jeden z kudzaczy. — „Zarobiliśmy dużo forsy, i trzeba by już się rozejść”.

Zona premiera Wilsona odprawiła dotychczasową kucharkę, przyjętą jeszcze przez panią Hume. Powód: „Jesteś niewystawnej kuchał — oświadczyła Mrs Wilson. — Lubimy żyć skromnie...”



Jak się warzy w Bonn eliksir miłości.

ni publicznej. 63% mężczyzn i 76% kobiet w NRF uważa, że pora zaprzestać ścigania zbrodniarzy wojennych.

Jak wygląda układ sił w amerykańskiej partii republikańskiej po przegranych wyborach? Badanie opinii wskazuje, iż partia ugrzęzła bez nadziei w konserwatywnie — i to również w sprawach personalnych. Oto jak jej członkowie punktują swe kierownictwo: Eisenhower 41%, Nixon 19%, Goldwater 17%, Lodge 8%, Scranton 4%, Romney 3%, Taft 3% i Javits 1%.

## POLONICA

JAKUB ROTBAUM  
W PARYŻU

Znany reżyser Teatru Polskiego i Teatru Żydowskiego we Wrocławiu, Jakub Rotbaum, wystawił w Paryżu w amatorskim teatrze „Sen o Goldfadenie”. Sztuka ta grana była w Polsce 250 razy. Osnuła jest ona na tle

snu starego suflera teatralnego. Większość jego marzeń to sztuki Goldfadena — ojca teatru żydowskiego. W wywiadzie udzielił on „Presse Nouvelle”. Jakub Rotbaum podkreślił, że władze Polskiej Ludowej subwencjonują Pań

## POLONICA

stwowy Teatr Żydowski, chociaż w Polsce mieszka tylko 30 tysięcy Żydów, natomiast we Francji, grupującej 250 tysięcy ludności żydowskiej, nie ma ani jednej żydowskiej sceny żydowskiej.

nizyć nawet śmieć twórcy”. Autor wyraża we wstępie artykułu ubolewanie, że filmy nie-francuskie i nie-amerykańskie, nawet o dużej wartości, eksploatowane są z dużym opóźnieniem przez kina francuskie.

W czasopiśmie jak np. „Deutsch-polnische Hefte” i „Polen” — dalo by się zestawiać dopiero po bardzo żmudnej pracy, tak jest tego dużo. No cóż — trzeba się cieszyć, że literatura nasza budzi takie zainteresowanie za granicą.

scim operator angielski, Gil Taylor, stwierdził, że nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak pracowitym reżyserem, ale też pracuje mu się z Polakiem bardzo dobrze.

talu Aldo Ciccolini i w koncercie Beethovenowskim, wykonując V Koncert. Orkiestra dyrygował Cluytens z Opery Paryskiej.

FRANCUSKA RECENZJA  
O „PASAZERCE”

Wybitny krytyk francuski, Georges Sadoul, w tygodniku „Le Lettres Francaises” z dnia 11 listopada br., omówił szeroko pośmiertny film Andrzeja Munka „Pasażerka”. W artykule pt. „Odpowiedzialność i sumienie”, krytyk francuski podkreślił

li walory historyczne i współczesne filmu, dosko nalał gre Aleksandry Śląskiej, świetny komentarz Wiktora Woroszyńskiego. O zmarłym zaś reżyserze, Munka, Georges Sadoul pisze: „Niedokończony film jest wielkim dziełem, którego rangi nie mogła ob-

O POLSKIEJ LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ

W październikowym miesięczniku „Zeitwende”, wydawanym w Hamburgu, Gerhard Portele ogłosił szkic o współczesnej literaturze polskiej, opublikowany następnie w osobnej odbitce. Z artykułu tego warto zacytować następujący passus: „Polska literatura współczesna, a

więc literatura po roku 1945, ma w sobie coś fascynującego. W ostatnich latach ukazuje się coraz więcej książek polskich autorów w NRF. Wydano również sporą ilość antologii polskiej prozy i iliryki. Pełna bibliografia, która obejmowałaby również tłumaczenia zamie-

rem”. Z artykułu dowiadujemy się, że Polak przebywa obecnie w Londynie, gdzie kręci film pt. „Repulsion”, oparty na własnym scenariuszu. Współpracujący z Polań-

ARTYKUŁ  
O POLAŃSKIM

Dueże uznanie krytyki zdobył Tadeusz Baird z okazji tygodnia muzyki zagranicznej. Jego „Wariacje beztematyczne” świadczy — zdaniem kompetentnych fachowców —

POLSCY MUZYCY NAD SEKWANA





Fot. Z. Rzeźniacki

Dalszy ciąg ze str. 1

przestępczości nieletnich poprzez środki zapobiegawcze.

— Jak to wyglądała na waszym odcinku — pytam, i oto czego się dowiaduję:

Poprzednio milicja zatrzymywała i sprowadzała do Izby Dziecka tylko dzieci i młodzież do lat 17, którzy już popełnili jakieś przestępstwo, względnie zabłąkane maluchy, od roku 1962, poza takimi sprowadza się tu także: napotkane na ulicach, na dworcach, w parkach dzieci, które uciekły z domów rodzinnych, wagarowiczów ze szkół, lub włóczące się po ulicach późną porą z dala od własnego domu i w bliżej nie określonym celu. Innymi słowy tych, którzy zrobili pierwszy krok na drodze do wykołowania. A ten — otwiera już furtkę do przestępstwa.

Co robi dziecko, które uciekło z domu? Jeżeli jest śmielszej natury — jedzie „w świat”, to znaczy do innego miasta (tych milicja wyłapuje zwykle na dworcach); ze skromniejszą inicjatywą — włóczy się po swoim własnym mieście. Jeśli to pora letnia — uciekinierzy przesiadują w parkach, wędrują do najbliższego lasu, nad stawy. Tam też nocują. Zimą — nocują na ogrzewanych klatkach schodowych, w podwórzkowych komórkach, na strychach lub w piwnicach. Ponieważ są głodni — próbują kraść. I tak się zaczyna!

Przyczyny ucieczek z domu: przeglądam kartotekę, wczytuje się w testy wypełniane przez pensjonariuszy Izby, a dołączane do akt. Jestem uprzedzona do testów, te jednak robią na mnie duże wrażenie, mimo świadomości, że nie wszystkie są szczerze. Podoba mi się ich forma. Jest inteligentnie pomyślana.

Przytaczam kilka przykładów:  
W domu jest zawsze . . . . .  
Kiedy mój ojciec wraca do domu . . . . .

Boję się, gdy . . . . .  
Najbardziej dokucza mi . . . . .  
Nie chciałbym nigdy, żeby . . . . .  
Najbardziej przestraszyłem się . . . . .  
Gdybym miał wyjechać na bezludną wyspę, to zabrałbym ze sobą . . . . .

Odpowiedzi pisane przeważnie nieortograficznie, często przerażliwymi kulfonami — nie zawsze, ale często dają przejrzysty obraz domu, tego domu, z którego się ucieka.

I tu ogarnia mnie głęboki smutek i jak gdyby upokorzenie: czyż bym wpadła na trop winy nie

— Tych. I oni mówią: „Coś ty frajer? Taką forszę będziesz oddawał?” No, i poszliśmy i kupiliśmy 3 zegarki i także inne różności.

— A mama widziała twój zegarek?

— Widziała.

— I nie zdziwiła się?

— Trochę się dziwiła.

— A powiedziała, skąd go masz?

— Jak się nie pytała, to po co miałem mówić.

A ten czarnulek w kącie, panie poruczniku?

— Jak się nazywasz?

— Zenek.

— Takie nazwisko?

— Nie. Nazwisko mam Kulik.

— Aha, a skąd jesteś?

— Z Gdańska.

— Po co przyjechałeś do Łodzi?

— Ja wcale nie chciałem do Łodzi. Ja jechałem do Olsztyna. Tylko się przesiadałem.

— Masz kogoś w Olsztynie?

— Mam kuzyna.

— A rodzice wiedzą żeś wyjechał?

— Nie.

— A skąd miałeś pieniądze na drogę?

— Wziąłem mamie z szafy.

— Do szkoły nie chodzisz?

— Chodzę.

— No, to jak? Chodzisz do szkoły, czy podróżujesz?

— Dwójki ciągle dostaję, to po co mam chodzić.

— A nie prosiłeś rodziców, żeby ci dali pomoc w nauce?

— Prosiłem, to ojciec powiedział: jeszcze będę do ciebie dokładał? Jakiś niezdolny, to idź swinie paść.

\* \* \*

A są też tacy, co sami się zgłaszają do Izby. Mówią: uciekłem z domu. To są recydywiści ucieczkowi. Bywają tacy, co 8—10 razy już tu nocowali. Tych się wita: co, znowu? I taki pederak Muma-czy: dostałem 3 dwójki na okres. Tata mnie zbije, bo dziś była wywiadówka. Do jutra to mu przejdzie.

ochla i wyprawia brewerje. Ani się uczyć, ani co... Ale bywali i tacy, co próbowali przepilnować kraty. To starsi chłopcy. Czekali tu parę dni na transport do Domu Poprawczego. Oddali się od razu od reszty, utworzyli miniaturowy gang. Próbowali w nocy wciągnąć dyżurnego opiekuna w głąb syplalni pod pozorem rzekomej choroby jednego spośród siebie, leżącego daleko od drzwi. Dyżurny zorientował się w porę, o co chodziło? Byli go obezwładnili i odebrali klucze.

— Ile macie miejsce?

— Dwadzieścia pięć. Ale bywa różnie: czasem jedna noc da komplet.

— No, dobrze — powiadam — ale co wy robicie z tymi swoimi pacjentami? Zgarniacie ich z ulic, z dworców, z klatek schodowych, czy komórek, myjecie ich tu, przebieracie w ciepłe pidżamy, dajecie jeść — to już wam. Wiem też, że nie siedzą tu u was, bezczynnie: bo wypełniają testy, rysują, oglądają ilustrowane pisma i książki, wykonują drobne roboty ręczne pod kierunkiem dyżurnych opiekunów. Poza tym sami sprzątają lokal, są poddani ścisłemu rygorowi... ale co dalej?

— Przez ten czas, gdy się tym wszystkim zajmują, nasi koledzy z MO — mówi por. Wawrzynkowski — przeprowadzają wywiady środowiskowe. Na czym to polega: ustalają dane o składzie rodziny nieletniego i jej warunkach bytowania, o atmosferze wychowawczej domu, o stanie opieki nad dziećmi. Inaczej — sprawdzają prawdziwość złożonych przez dzieci w Izbie zeznań na ich własnym terenie tj. w domu rodzinnym, u sąsiadów, w szkole, a jeśli nieletni już pracuje — w miejscu pracy.

— Jednym słowem starają się ustalić okoliczności, które powodują ucieczki z domu, wagarownię, a nawet skłaniają do przestępstwa?

— Tak jest. I odpowiednio do wyników tego rodzaju wywiadów dzielimy naszych „pensjonariuszy”

obowiązani jesteśmy kierować do schroniska dla nieletnich chłopców do Wielunia, dziewczęta do Otwocka (woj. łódzkie niestety do dziś nie posiada na swym terenie własnego schroniska dla dziewcząt).

II grupa — dzieci zabłąkane, opuszczone, zaniedbane lub te, które uciekły z domów, ale nie popełniły jeszcze żadnego przestępstwa.

III grupa — grupa tzw. etapów to znaczy nieletnich konwojowanych czyli przywożonych na rozprawę ze schroniska, wzgl. odwożonych po rozprawie, wreszcie czekających na wolne miejsca w schronisku.

— Mnie w tej chwili — panie poruczniku — powiadam — interesuje grupa II, która wiąże się ściśle z moim punktem wyjścia, tj. z profilaktyką przestępczości nieletnich.

— Rozpatrywanie spraw tej właśnie grupy, a także decyzje odnośnie dalszego trybu postępowania należy do nas, do pracowników Izby Zatrzymań. I tu jesteśmy u sedna zagadnienia: jakież to bywa ten „tryb dalszego postępowania”.

Nie będę wyszczególniać wszystkich metod wymienianych przez mego rozmówcę. Jest ich stanowczo za wiele w stosunku do rozmiarów mego reportażu. Więc tylko kilka z nich.

✦ Izolowanie nieletniego z dotychczasowego środowiska przez umieszczenie w Domach Dziecka, w internatach czy w PPO (Państwo we Pogotowie Opiekuńcze).

✦ Pozostawienie w dotychczasowym środowisku i interwencja czy też tylko sygnalizacja potrzeby pomocy w odpowiedniej instytucji (w szkole, Poradni Społecznego Wychowania, w Sądzie Opiekunów, w Zakładzie Pracy Nieletniego lub jego rodziców itp.).

✦ Skierowanie na badania lekarskie, przeważnie psychiatryczne, gdyż pewna część zatrzymanych — to dzieci alkoholików z ociążalnością umysłową lub wręcz debile; czasem kierowanie wniosku o przymusowe leczenie przeciwalkoholowe ojców — nalogowych pijaków.

✦ Zobowiązanie Komendy Harcerstwa lub ZMS do zajęcia się poszczególnymi chłopcami, którym grozi wykołowanie, przez wciągnięcie do zorganizowanych form życia młodzieżowego „itd.”

Nie daje to pełnego obrazu akcji prowadzonej zresztą dopiero od dwóch lat. Przedwzrusze też byłoby, operując danymi statystycznymi za tak krótki czas, wyciągnąć daleko idące wnioski. Można by jednak już dziś zarzykować wyśnięcie hipotezy, czy podchodzić od tej strony do szukania źródeł przestępczości nieletnich i chuligaństwa — nie jesteśmy przypadkiem na tropach winy?

ZOFIA LORENTZ

# W PEWNYM DOMU na ulicy SKRZYWIAJĄ

darzeniach w tym szczególnym Domu Smutnych i pociesznych, złośliwych, niekiedy nawet groźnych. Żadnych uogólnień. Każdy przypadek nosi cechy odrębności.

✦ „Hanię S. przesłano tu z Izby Wyrzeczwieli. Ma lat 16, I, jak głosi meldunek, została zatrzymana na jednej z ulic Śródmieścia w stanie zupełnego zamroczenia alkoholowego. Do szkoły nie chodzi. Ma oboje rodziców: ojciec jest inżynierem, matka księgową. Ania twierdzi, że rodzice jej nie kochają i ciągle mają do niej pretensje. Szczególnie „dokucza” jej babka, mieszkająca wspólnie. Ania kocha tylko swego małego bratciszkę. Szkoły nie lubiła, bo tam też ciągle od niej czegoś wymagałi...”

✦ „Troje rodzeństwa: Anielka lat 12, Jasia — 10, Jurek — 8; Anielcia jest bardzo elokwentna i wyrobiona życiowo. Opowiada z werwą, że milicja ich wzięła, bo: „mamę zabrało Pogotowie, a tata siedzi w więzieniu. Dobra babcia — to niedawno umarła, a zła, ta od ojca, to nas nie lubi i pomagać nie chce. A tata zanim poszedł do więzienia, to pobił wszystkie szyby u siebie i u sąsiadów. A takie różne chryje to robi często, bo jest pijus i lajdak...”

A tych trzech przywieziono z Sulejowa.

— Który z was wziął te pieniądze?

— Ja — wstałem wyrośnięty blondas, bynajmniej nie speszony.

— Jak to było?

— Te pieniądze to mi dała sama ta pani z kiosku.

— Jak to, dała ci w prezencie 2000 złotych?

— E, nie, prosiła, żebym za nią wpłacił w PKO, bo to był dzienny utarg.

— Aleś nie wpłacił.

— Nie wpłaciłem, bo spotkałem kolegów...

— Tych dwóch co tu siedzą?

Inny mówi, że do domu nie wrócił, żeby nie wiem co. W domu tylko kłótnie i bijatyki, Ojciec się

na 3 grupy:  
I grupa — to już przestępcy. Tych po 48 godzinach najpóźniej



Fot. J. Gardzielewska

# Podniebni akrobaci

Pełny gaz i orczyk w dół. Strzałka — szybkościomierza pełnie w prawo: 220, 240, 260... Już! Orczyk na siebie, prawa noga... Samolotik wystrzelił w górę. Słońce wykonało pełny obrót wokół osi maszyny. Teraz noga przeciwna i z pozycji odwróconej wejście w korkociąg. Jedna zwitka, druga... Stań się śmigło, więc przytrzymał w locie nurkowym aż silnik strzelił i zakaszłał. I dalej: orczyk na siebie, przytrzymał i wisząc odwrócony, powoli wciskał pedał wchodząc w ósemkę. „Mam 500 m. Mało” — pomyślał i z pełnym gazem wystrzelił beczką wskos w górę, wprost w blade jesienne słońce...

Granatowe kopy gór, daleki zarys kolorowego Bielska, malachitowa zieleni lotniska z białymi plamami orientacyjnych płacht, biały kłoczek portu i czarny hangar, przed którym srebrzyły się kilka samolotów, pomalowany w czarno-białe kwadraty wóz startowy — „karawan”... — Wszystko to wirowało, skakało w górę, w dół, znikało, pojawiało się w rytm nieskomplikowanej, dychawicznej melodii silnika.

Czuł się mocny, władny kształtował przestrzeń lekkimi poruszeniami drążka, pedału... Gasił lub zapalał słońce, roztopiał obraz ziemi w oslepłych od przeciążenia oczach i balansował na granicy określonej mocą maszyny i niedoskonałością własnego ciała. Płynnie z jednej figury przechodził w drugą, bez ustanowienia niemal instynktownie, instynktem nabytym wieloletnim treningiem. Jeszcze szybka beczka w lewo, wiraż... i przysięgnięty silnik zszedł do lądowania.

Z wolna wracało mu poczucie rze-

czywistości: niebo i ziemia poczęły się rozdzielać na dwa statyczne i obce sobie żywioły a oblicze jej odzyskiwało swą trójwymiarowość.

Nieopodal „karawanu”, pośrodku grupki leniwie wpatrzonych w jasne niebo mężczyzn stał podłyśnięty dryblas. Na szyi miał zawieszoną barwną chustkę mistrzostw. Przez kontrast z leżącymi z rekami pod głową, milczącymi kolegami, wydawał się rozdygotany i gadatliwy. Lekko przekrwione oczy i czerwona twarz z nabrzmiałą żyłą pośrodku wysokiego czoła pozwalały się domyślić, iż wylądował przed chwilą.

— Co za idiota! Zaczynając kręcić jeszcze sobie mówilem: „przytrzymał do 260, przytrzymał do 260”, a zacząłem przy 220! Oczywiście że mało i przepadłem na skrzydło. Kto teraz lata? Mówię ci, musisz mieć nie mniej niż 250, inaczej nie wykręcisz tej beczki w górę. Kto to jest? Kasperek? — wpatrzył się w srebrzący się rozblaskami samolotik. — Tak, o widzisz, nie mówilem, ma co najmniej 260. Dobrze. Imelman z poprawką. Co teraz? „Baryłka”, pierwsza prawdziwa baryłka w dniu dzisiejszym. No, podsumował nas, podsumował. — W głosie nie było zadrzota, raczej satysfakcja i entuzjazm.

Zrobiliśmy pół rundy wokół lotniska samolot podszedł do lądowania, kolując w stronę hangaru pilot odsunął osłonę kabiny i zaczął odpinać pasy fotela i spadochronu. Od startu minęło zaledwie 15 min. z których jedynie niecałe 4 min. prawdziwego lotu, prawdziwej przygody: reszta to mozolne dźwiganie się na maksymalną wysokość 1200 m i lądowanie. Dla tych 4 min dziś, jutro i pojutrze, dla dwu ewentualnych dodatkowych lotów finałowych spędził w powietrzu dziesiątki, setki godzin.

— Mam 28 lat. Pochodzę spod Lublina. Latam od 1951 roku a od 1954 pracuję zawodowo jako instruktor lotnictwa — odpowiadał na moje pytania Stanisław Kasperek. — Do lotnictwa trafiłem, jak większość z nas, poprzez modelarstwo i szybownictwo. Dwadzieścia pięć kilometrów na lotnisko kilka razy w



Fot. A. Brzezicki

tygodniu dochodziliśmy lub dojeżdżaliśmy z bratem. Dzisiaj mieszkam z żoną i córeczką przy lotnisku. Codziennie przez osiem godzin latam jako instruktor pilotażu, póź niej własny trening. Szczęście jest nas kilku ćwiczących akrobację.

Jak wszyscy oni jest spokojny, można rzec powolny, wszystkie jest naturalne, oczywiste, podane z tym samym uśmiechem, niejaka nieopornością gestu. — Dotychczas dwa razy, w 1958 i 1960 roku, zdobyłem wicemistrzostwo Polski w akrobacji samolotowej oraz cztery razy mistrzostwo w latach 1959, 1961, 1962 i 1963. Na I mistrzostwach świata w Bratysławie w 1960 roku byłem trzynasty z 8 zawodnikami z CSRS i czterema z ZSRR, a w ub. r. w Moskwie na zawodach Akrobacji Samolotowej Państw Socjalistycznych byłem trzeci za dwoma zawodnikami radzieckimi. Brat w ub. roku zdobył wicemistrzostwo Polski w konkurencjach lotniczych. Jak wypadną w tym roku? Jestem przygotowany, ale przypadek czy zdenerwowanie mogą mi pokrzyżować plany. Ojciec był kierowcą PKS. Teraz na emeryturze. Tak strasznie jest z nas dumny.

— Latamy na czeskich Zlinach-26 z 1950 r. — skarży się inny z pilotów. Samoloty te mają gorsze osiągi niż niektóre maszyny przedwojenne. Nasze „Wilgi”, „Kosy” czy „Gawrony” są doskonałymi samolotami turystycznymi lub gospodarczymi ale do akrobacji, gdzie potrzebna jest duża zwrotność i nadmiar mocy, się nie nadają. Dlatego przegrywamy. Aerokluby w całej Polsce mają za ledwie 40 aparatów zdalnych do akrobacji.

— Lotnictwo jest najkosztowniejszym ze sportów — mówi jedyny zawodnik z Łodzi, instruktor lotnictwa Seweryn Przybylski. — Poza ceną samolotu, bardzo droga jest eksploatacja: jedna godzina lotu kosztuje ponad tysiąc złotych, a chcąc uzyskać dobre wyniki trzeba mieć wylatane 1000 do 2000 godzin! To przesadza o dwu sprawach: niewielkiej liczbie zawodników (w tegorocznych mistrzostwach uczestniczyło 20 pilotów) oraz, że z reguły najlepsze wyniki osiągają piloci zawodowo związani z lotnictwem; wszyscy trzej czołowi akrobaci lotniczy, Kasperek, Studencki i Akerman, którzy od czterech lat zajmują pierwsze trzy miejsca, są instruktorami. W Łodzi mamy ok. 30 pilotów, lecz nie zdradzają oni większych zapałów sportowych. Co roku najlepsi odchodzą do „Lotu”, „Eskadry Gospodarczej”. Najwcześniej za dwa lata, gdy okrzepnie na-

sza młodzież, możemy się spodziewać lepszych wyników.

Trzy tysiące uczniów z pobliskich szkół z napięciem obserwuje podniebne ewolucje. Jeden za drugim dwudziestu kandydatów na najlepszego polskiego akrobata lotniczego wspina się pod niebo i w przedziwnych skrętach, zwrotach, pętłach, lotach nurkowych spada coraz niżej. Wydaje się, iż każdy robi to równie doskonale, z równą precyzją i brawurą. Ewolucje są złożone, trudne do określenia, nazwania, osądzenia...

— Panie inżynierze, — zwracam się do Głównego Sędziego V Mistrzostw Polski w Akrobacji Samolotowej, pana inż. W. Rychtera — czy mógłby mi pan wyjaśnić sposób rozgrywania mistrzostw i punktowania zawodników?

— Ależ, bardzo proszę. — Starszy, miły pan poprawia się w leżaku, z którego obserwuje ewolucje — Mistrzostwa składają się z pięciu konkurencji: trzech półfinałowych (wiązanek obowiązkowa, znana i ćwiczenia, obowiązkowa nieznana, układana przez komisję sędziowską tuż przed zawodami, oraz dowolnej, komponowanej przez samego zawodnika), i dwu finałowych (obowiązkowej i dowolnej). Oceny dokonuje 5 sędziów, którzy każdą z 12 figur wiązanek oceniają w skali 0-10, ocenę mnożąc przez współczynnik trudności podany w katalogu „krytycznym” FAI dla każdej figury. Dodatkowo zawodnik otrzymuje punkty za elegancję, rytm, dokładność wykonania kompozycji, za przestrzeganie czasu (4 lub 6 min.) oraz strefy (prostokątów o podstawie 500x1000 m. i wysokości 1000 m.). Losowanie kolejności lotów następuje tuż przed każdą konkurencją, już po odejściu sędziów na stanowiska po drugiej stronie lotniska. Zawodnik uzyskuje sumę ocen trzech sędziów po odrzuceniu oceny sędziego „najłagodniejszego” i „najsurowszego”. Do finału przechodzi 1/3 zawodników. Mistrzem Polski zostanie ten, który w sumie uzyska największą ilość punktów we wszystkich pięciu konkurencjach.

Na rozgrzanej murawie lotniska siedziałem z dwoma pilotami. Samoloty krążyły, wzbijały się i spadały, silniki wyły, terkotały, dawały się — mistrzostwa wkraçały w decydującą fazę. Wysoko, ponad terenem zmagają trzy jastrzębie „wycentrowały komin” i leniwie kolując przesuwały się wraz z nim w kierunku gór. Na naszych twarzach wzięły nitki pierzatego „babiego lata”. Staszek Kasperek mówił:

— Rok temu na treningu w Krośnie, kręcąc usłyszałem straszny huk

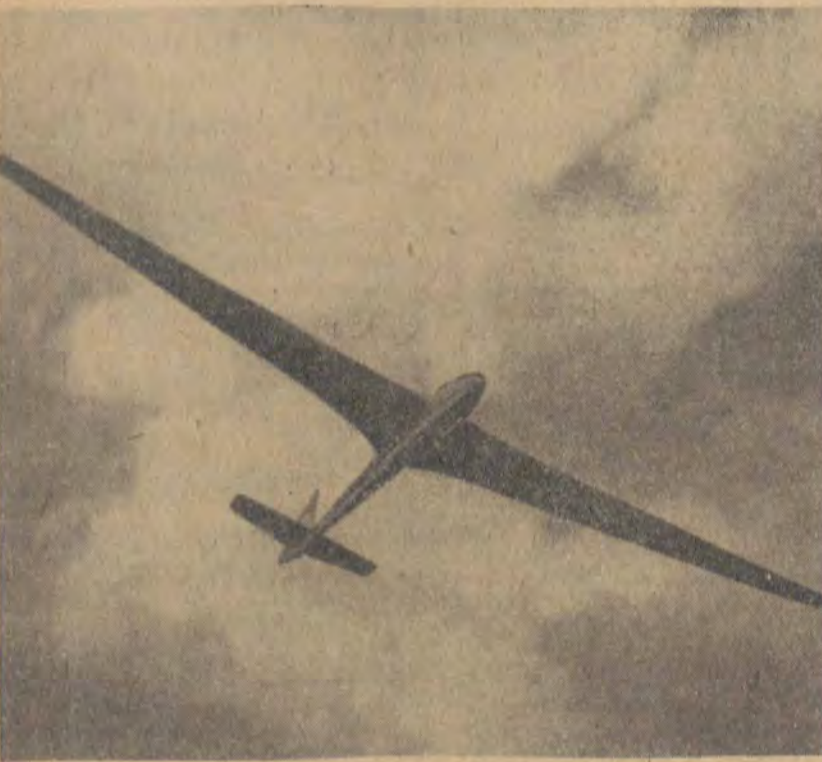
i trzask. Przeraziłem się, że trzasło mi skrzydło. Wyszędem z figury i dopiero wtedy zorientowałem się, że to tylko śmigło się urwało i trzasnęło w kadłub. Byłem nad lotniskiem, więc zabawiłem się w szybownika i wylądowałem. Wtedy, raz jedyny, naprawę się bałem, przez moment. W samolocie czy szybowcu nie czuje się niebezpieczeństwa. Kręci się do 200 m od lotniska i... chyba, że omdlenie na skutek przeciążenia... W Bratysławie widziałem jak runął jeden Francuz...

Obcy samolot podchodził do lądowania. To „ratownik” przywiózł ofiarę wypadku drogowego, na którą czekała już sanitarka.

— Z wiekiem rośnie ostrożność. Nawet można robić to samo co dawniej, ale teraz najpierw dwa razy się przekalkuluje. Na pokazach schodzi się czasem do 20 m... — odezwał się drugi. — W Stalowej Woli zrobiłem przewrót plecowy i w pozycji odwróconej znalazłem się tuż nad lotniskiem. Miałem za małą szybkość, by wyciągnąć z tego i wisząc głową w dół, nad murawą, przytrzymałem przez kilkadziesiąt metrów by rozpedzić samolot. Strasznie to wyglądało: pedająca ziemia, ogarniająca wszystko dookoła, zakrywająca horyzont... Do dziś został mi uraz. Ale to minie. Denerwuję się przed startem, ale tam w górę już nie ma czasu. Tam ma się czterzy, sześć minut na wszystko. Później traci się wysokość, szybkość i trzeba lądować, lub zaczynać od początku.

Mam dużo sympatii do tych spokojnych chłopców, którzy w dobie transoceanicznych, czy transkontynentalnych automatów pozostali wierni romantyce pierwszego, bohaterkiego okresu lotnictwa, roman tyce samotnych zmagają z przestrzenią i ciężeniem za pomocą najprostszymi środkami technicznymi. Czy to nie charakterystyczne, że dzisiaj doszukujemy się duchowych, emocjonalnych, humanistycznych treści w tym lotnictwie, w którym poprzednie pokolenie widziało jedynie triumf techniki? To wydaje się być najcenniejszym, najoptymistyczniejszym wnioskiem reportażu.

**KOMUNIKAT KOŃCOWY:** W dniach 20-27 września br. w Bielsku-Białej rozegrano V Mistrzostwa Polski w Akrobacji Samolotowej. Tytuł mistrzowski zdobył Stanisław Kasperek z Aeroklubu Robotniczego w Świdniku uzyskując 23,345 punktów, przed Edmudem Mikolajczykiem z Gliwic (21,620 p-tów) i Stefanem Studenckim z Zielonej Góry (21,336 p-tów).



## Korespondencja z Anglii

### SPOTKANIE Z AUTOREM powieści „A PASSAGE TO INDIA”

Lewe skrzydło King's College w Cambridge jest zarezerwowane dla „fellows”, tzn. wykładowców uniwersytetu. Przy wejściu znajduje się miedziana tabliczka z napisem „private”. To tutaj na pierwszym piętrze mieszka największy z żyjących,

pisarz angielski E. M. Forster. E. M. Forster przyjął nas bardzo serdecznie. I oto siedziemy w wygodnych fotelach w jego gabinecie.

Przy ścianach półki z książkami, a przy oknie biurko — warsztat pracy sędziego pi-

sarza. Oczywiście, jak w każdym angielskim domu i tutaj również znalazło się miejsce na kominek. Na nim, obojętne przelotnych drobiazgów, pamiątek przywiezionych z podróży dookoła świata (pisarz wiele lat podróżował) rzęca się w oczy mała laurka, ozdobiona kwiatkami z napisem zrobionym niewprawną dźwięczną ręką: „Happy Birthday”. Dolna część białego kartonu wypełnia cyfra „86”. W bieżącym roku pisarz obchodził osiemdziesiątą szóstą rocznicę swoich urodzin.

Ale mimo to E. M. Forster nie daje okazji czytelnikowi, by o nim zapomniano. Co pewien czas na rynku księgar-

skim ukazują się jego powieści i opowiadania. Wznawia się również jego stare utwory.

E. M. Forster jest jednym z tych nielicznych pisarzy, których książki nie tracą ze swojej aktualności i są ciągle czytane. Należy on do tych pisarzy angielskich, którzy — jak Huxley, Shaw, Galsworthy — w głębokiej, ironicznej, bezkompromisowej formie uczą Anglików prawdy o nich samych.

Wśród kilkunastu napisanych przez niego książek czołowe miejsce zajmuje „A Passage to India”, zdumiewająca i tragiczna opowieść o kraju zwanym Indje. Powieść ta znana jest naszemu czytelnikowi. Wyda-

nie polskie (tytuł przedtatu: „W słońcu Indji”) ukazało się tuż przed samą wojną.

Mówimy o Polsce, o Warszawie, Krakowie i Łodzi. Mówimy o miastach, które pisarz zna ze swojego pobytu w naszym kraju. Zdumiewa nas znajomością polskiej literatury współczesnej. Wymienia nazwiska Dąbrowskiej, Parandowskiego, Iwaszkiewicza. Interesuje się również twórczością naszych młodych prozaików i poetów.

Kiedy zaczynamy mówić o sztuce Petera Weissa „Prześladowanie i zamordowanie Marata”, którą oglądaliśmy niedawno w londyńskim „Aldwych Theatre”, E. M. Forster uśmie-

cha się tajemniczo. Chwilę milczy, po czym dodaje:

— Ta sztuka jest niewątpliwie wielkim wydarzeniem teatru europejskiego. W dodatku reżyserował ją Peter Brook... Ale proszę sobie wyobrazić, że ja również napisałem sztukę. Nazywa się „Aniolowie”. Oczywiście nie liczę na sukces, jak i odniósł Weiss. Mimo to ciekaw jestem, co panowie o niej powie.

Niestety, nie mieliśmy okazji wysłuchać „Aniolów”. E. M. Forstera, którą wystawił teatr radiowy BBC. W tym czasie znajdowaliśmy się w drodze do Szkocji.

ROMAN GORZELSKI



Antoni Kasprówicz jest poetą Łodzi. Podkreśla się to często i nie bez racji. Podkreślił to ostatnio jurorzy nagrody literackiej Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, przyznając owa nagrodę — nagrodę przeznaczoną przede wszystkim dla pisarza łódzkiego lub pisarza Łodzi — autorowi „Poematu łódzkiego”.

Kasprówicz zapisuje w swoich tekstach — tak w tekstach poetyckich jak i prozatorskich — doświadczenie ludzi wyrosłych w Łodzi. Przywołuje

dobrze znane tym ludziom nazwy dziel nie i ulic — Szezyng i Widzew i Rokieliska — i dobrze znane realia. Ewokuje zbiorowe wspomnienia, postępuje się symboliką zamkniętego kręgu folklorystycznego. Ale Kasprówicz, poeta Łodzi, jest jednocześnie — i lektura tekstów z pewnością to potwierdza — pisarzem nie jednego tylko miasta i nie jednego tylko tematu. I mylą się bardzo ci, którzy mówią: „poeta Łodzi”, myślą bezgłośnie: „poeta pro wincit”. Z tego, co mostobyt być stało się tekstów — z zamknięcia się w jednym kręgu symboliki, z ograniczenia się do zapisu doświadczeń jednego kręgu folklorystycznego — uczynił bowiem Kasprówicz swą siłę. Podobnie jak Tuwim. Związek, łączące autora „Poematu łódzkiego” z autorem „Kwiatów polskich” są wyraźne. Wystarczy wziąć do ręki wiersze Kasprówicza, by się o tym przekonać. Tuwim był poeta tematów uniwersalnych. Tekst Antoniego Kasprówicza, który drukujemy, rozgrywa się w Łodzi, tu i teraz. Mówi o ludziach, których życie toczy się w obrębie kilku ulic, których doświadczenia są ograniczone, a przede wszystkim ulonne. A przecież, przywołując raz jeszcze temat Łodzi i przywołując raz jeszcze symbolikę miasta, powiadał Kasprówicz — właśnie poprzez ten temat i poprzez tę symbolikę — coś, co dotyczy nie tylko ludzi w tym mieście wyrosłych. Coś, co dotyczy nas wszystkich, wyrosłych gdzieś w Europie. Powiadał bowiem wiele o losie człowieka w „epoce pleców”.

Wszyscy z dookolicy znali naszą rudą suczkę Azę, wywodzącą swój ród z klapouchych irlandzkich seterów, suczka, która za każdym podejrzany ruchem lub dźwiękiem, tuliła słuchę po sobie, lub nastawiała w szpic jak dwa sarnie różki.

Lagodna, miła i wierna jak Argos Odysa, cieszyła się w domu specjalnymi względami, zwłaszcza żony, która rozpieszczała suczkę do tego stopnia, że pozwalała sobie na różne fanaberie i grymasy jak na przykład: pogarda wszelkiego rodzaju żup, posiłków beźmięsnych i twardego legowiska.

Nie wspominać już o wymuszanych przez Azę pieszczołach, polegających na ustawicznym głośnianiu i drapaniu za uchem, jak i o codziennych spacerach. Bo jak to mówi piosenka: — „czy to deszcz, czy słoneczna spielonka” — trzeba było suczkę w oznaczonych godzinach wyprowadzać na spacer dla zaspokojenia biologicznych potrzeb i niedowolnego ruchu pobudzającego krwioobieg, czyli tak zwanej cyrkulacji. Jednym słowem Aza żyła u nas w wielkiej estymie jak u dawnych Persów, lub Inków i to wcale nie pod wpływem lektury Dygasińskiego, Londona, Curwooda, Hansa Bauera, lub przepięknej opowieści o Bauszanie — Tomasza Manna.

Codziennie więc rano i wieczorem wyprowadzałem na spacer z franciszkańską ciepłownią wyciekającą suczkę, bez względu na okoliczności, czy byłem do tego obojętnie dysponowany, nie mówiąc już o jesiennej słońcu lub dotkliwym mrozie. Wtedy bowiem spaceru nasze bywały krótsze, ograniczone jedynie do terenu kolonii, w której zamieszkiwaliśmy.

Oczywiście, że suka bardziej była zadowolona, gdy w pogodny dzień udawaliśmy się w pobliskie pola, okalające nowo wybudowaną szkołę Tysiąclecia (szkło i beton) i kilkunastu osiedle w pobliżu toru kolejowego, po którym z hukiem i łomotem toczyły się ciężkie towarówki. lub bezszumnie i błyskawicznie przelatwały elektryczne sleepingi.

Każdego więc ranka i wieczora, przed udaniem się do biura, lub na spoczynek udawałem się z suczką na spacer, z którego często wracałem zdenerwowany, albo — niewidoczna Aza wychowana na zasadzie: „jakim mnie Boże stworzył, takim mnie masz” — szarpała smyczą niemilosierdzie, uważając według swego rozumowania, że to ona właśnie prowadzi mnie na smyczy, pomagając do zrozumiałego pośpiechu.

Po kilku miesiącach szarpaniny przyzwyczaiłem się już do tych spacerów, na które udawaliśmy się przez odcinek Lokatorskiej i Tuszyńskiej na ulicę Katowicką — w pola Chojnickie, gdzie suczka z wywieszonym leżorem udalać wielkie zainteresowanie mysimj śladami hasała jak oszalala.

Trasa marszrutu naszej biegła obok wspomnianej już szkoły Tysiąclecia, a dalej wydeptaną ścieżką aż do kolejowego toru. Prując nosem po zroszonej trawie, kochane psisko wykonywało wtedy różne esy-floresy, a więc: skoki, uskoiki, nagłe zwroty, wywroty, lub skamłanie i prychające ryło ziemie przednimi łapami w poszukiwaniu wymagowanego gonu.

Później ubawieni wracaliśmy do domu na ciepłe śniadanie, po którym suczka rozciągała się na swym legowisku, a ja udawałem się do biura.

W ciągu kilkunastu spacerów nie nie zakłóciło nam spokoju. Raz jeden tylko Aza wypłoszyła z lucerny stado kuropatw i raz zawyla wystraszona nieruchoma postacią śpiącą w puszystych krzakach ostu kobiety, obok której leżała wysączona butelka i resztki nie dojezionej wędliny.

Największą jednak niespodzianką była dla nas ukazująca się nad torem kwadra lub pełnia księżycowa, wysrebrzająca szyny jak struny skrzypcowe, lub setki światełek migoczących w Osiedlu Kurak.

Bywało również, że w blasku urzekającego Oriona, pod skrzypiącymi kołami Wielkiego Wozu wysuszeni mrozem wracaliśmy skuleni do domu. Bywało różnie. Aż pewnego razu...

W przezroczyście rano majowy sześćdziesiątego drugiego roku, wyszliśmy na spacer, odurzeni zapachem bechmurnego nieba i rozkwitających drzew, tym razem jednak wcześniej o godzinie. O podłonecznym brząsku trawa była jeszcze zroszona, więc zamiast, jak zwykle na pole, wyprowadziłem spuszczonego z smyczy Azę na asfaltowy chodnik wąskiej uliczki, wzdłuż pertrawowych, jednorodzinnych domków, okolonych

żywoplotami aż pod nasyp kolejowy. Niektóre drewniane domki próchniały już od starości, a niektóre, wybudowane po wojnie, błyszczały świeżym tynkiem.

Szedłem powoli pustą uliczką balansując smyczą, gdy nagle usłyszałem z oddali jakąś chaotyczną, nieokreśloną melodię z ustnej harmonijki, z przewijającym się motywem polskiego hymnu. Dźwięki wyrażały coraz bardziej i naraz niespodziewanie spoza opłotkowych krzewów, wyruszających się znad zmurzających sztachet ujrzałem na zakręcie uliczki przgarbioną kobietę, a obok niej, podskakującego drybleasa z lewą dłonią nakrywającą ucho, a prawą filującą przy ustach organkami, z których ułatywały dysharmonijne dźwięki.

Stałem zdziwiony niesamowitym widokiem, gdy nagle przeskoczyła w zaroślach suka, wypadła z wielkim skowitem wprost na muzykującego brodacza, który na widok psa rzucił się z krzykiem do kobiety, a ta

#### ANTONI KASPROWICZ

# JESZCZE SPÓŁSKA

chwyciła go czym prędzej za rękę i czmychnęła w stronę niedalekiego domu, pozostawiając mnie zdumionego na środku uliczki.

Z trudem po tym incydencie uspokoiłem zdenerwowaną sukę. A kiedy ucepiliem ją na smyczkę, uczałem dziwny żal i współczucie dla organkarza, który z powodu psa doznał parolitsznego strachu i dla tej wynędzniałej kobiety uciekającej bez leku z wasalem do domu.

Jakis niepokój odległego nieszczęścia i nieznanej tragedii ludzkiej osiadł mi czadem na sercu.

Wiedziałem, że nie zaznam w biurze spokoju, więc zamiast zawrócić do domu, skierowałem się w stronę pochyłego domku, w którym zniknęła nieznamna kobieta z wasaczem, w nadziei ujrzenia jej w ogródku.

Nie zawiodło mnie przeczenie, bo po chwili wyczekiwania przy żywoplotce, zobaczyłem ją z konewką wśród grządek białych narcyzów.

— Pani droga! — zawołałem. — Bardzo przepraszam za agresywność pieska, się proszę mi wierzyć, że to lagodna i miła suczka. Ona tylko tak, wie pani, dla zabawy. To głupia suczka, lagodna i poza muchami nie wyrządziła nikomu krzywdy. Proszę spojrzeć tylko na jej uśmiechniętą mordkę z tym wywalonym różowym jeżorem. Prawda, że sympatyczna, co? — zachęcałem nieznaną, która wreszcie uśmiechnięta podszła do żywoploty.

— Pan jest pierwszym mężczyzną, który tak miłe przemawia do mnie — powiedziała ustawiając pustą konewkę. — Przecież się nie gniewam na pana, ani na pieska — dośladła spoglądając znad żywoploty na suczkę wachlującą ogonem. — Rzeczywiście, śliczny ten kłasiasty rudzielec. Podziwiam go często rankiem jak pan wyprowadza psa koło szkoły. Widząc moje zdziwienie wyjaśniła.

— Bo ja proszę pana, codziennie rano wychodzę z synkiem na róg Karpackiej, gdy jeszcze nie widać ludzi. I to codziennie od kilkunastu lat proszę pana...

— Jak to? — zapytałem zdumiony. — Więc ten wasaty człowiek, który grał na organkach, to pani syn?

— Syn — powiedziała, westchnawszy głęboko. — Syn po mezu, który został postrzelony, gdy usiłował zbiec z Mauthausen. Przysłał mi tylko ubranie i za-

wiadomienie, że zmarł na suchoty. Ale w wyzwoleniu prosił pana, wrócili więźniowie i jeden z nich opowiedział mi jak postrzelonego ciągnęli za nogi po Apellplatzu, wprost do krematorium. Podobno, gdy na rusztach objął go ogień, ocuony bólem otworzył usta do krzyku. Tak, tak, proszę pana — opowiadała kobieta, ocierając suche oczy i spocone czoło. — Po śmierci męża, a ojca Grzesia, jedynym naszym opiekunem został brat męża, masywnista kolejowy, którego za sabotaż wysłali Niemcy na roboty przymusowe do Królewca. Prawie co miesiąc przysyłał nam po dwadzieścia marek, a raz pewnego nadesłał paczkę, z której ku naszej radości wydobyłam dla mnie buty i sukienkę, a dla Grzesia — organki. Mój Boże, nie ma pan pojęcia jak się wtedy Grześ ucieszył. I od tego dnia nic innego tylko od rana do wieczora, muzyka i muzyka na tym Honnerze: Myślałam z początku, że oszaleję od tych partyzanckich melodii, ale już wkrótce „Rozszumiały się wierzby płaczące” nauczyłam się całkownie na pamięć.

Szarpnęła smyczą niespokojna Aza, więc przywołałem ją na warowanie i słuchałem dalej wdowiąc opowieści.

— Grał rano, w południe, wieczorem, bo jedyną jego radością były wtedy organki. Ale kiedy prosił pana nauczył się „Jeszcze Polska”...

Zdjąłem kapelusz, wytarłem chusteczką spocone czoło i z bijącym sercem słuchałem dalej...

— Wtedy to właśnie zaskoczyło nas nieszczęście i to obok naszego domku, na rogu tej wąskiej uliczki, prosił pana... Bo kiedy Grześ nauczył się hymnu, to nie tylko codziennie rankiem wybiegał z domu na róg Karpackiej, które wtedy właśnie w czasie okupacji śpieszyli z Chojen robotnicy do pobliskiej fabryki, i wygrywał im na organkach. Niektórzy przechodząc płakali, inni uśmiechali się do Grzesia, salutowali, lub zdejmowali czapki. Bo Grzesio przypominał im, że ta Polska, zryta bombami, meczona i palona na krematorijnych rusztach, żyje niepokonana w sercach naszych i żyć będzie wiecznie, dopóki ta melodia... prosił pana...

Chrzaknąłem, czując skurcz w gardle, ale taktu jej enuncjacji nie przerwałem.

— Był piękny, pogodny jak dziś majowy poranek i Grześ jak zwykle powiedział do mnie:

— No, mamo, idę z organkami. — Idź syneczku, ale uważaj, ostrzegam, by ci się co nie przydarzyło, bo Niemcy już przegrywają i po ulicach kręcają się różni ludzie. Ale on przeskoczył próg i już go nie ma... Po pół godzinie, zaniepokojona jego nieobecnością wybiegałam z domu i znalazłam go pod płotem prawie niezwyłego. Twarz miał spuchniętą, siną, a spod poszarpanych spodni wyglądały skrwawione łądzwie. Wyjął z rozpaczy, przynosiłam go na rękach do domu. Dopiero na drugi dzień, poczciwa sąsiadka, która z okna widziała masakrę, opowiedziała mi jak to się stało...

— Wyjrzałam oknem, gdy zagrał — mówiła — gdy nagle nie wiadomo skąd nadeszło dwóch cywilów z wilezurem. Jeden z nich podszedł do Grzesia i uśmiechając się przytakiwał grającemu głową. Więc Grześ głośnie. To on znów głowa. A kiedy Grześ jeszcze głośnie, wtedy on krzyknął verfluchter! i trzasnął go pięścią w twarz, aż mu organki wyskoczyły w powietrze. A kiedy upadł, uniósł go i znowu w twarz, po czym ten drugi poszczuł wilezurem, który zaczął szarpać Grzesiowi z żywe mięso... No i odeszli wreszcie w stronę toru kolejowego... Tyle sąsiadka... Ale ja przez kilka tygodni opatrywałam jeżdżące i prawie cudem przyprowadziłam go do życia... Pewnego dnia pokazałam mu odnalezione organki, więc po raz pierwszy uśmiechnięty podniósł się z łóżka, ale do dnia dzisiejszego nie odzyskał przytomności. Stałe chodzi jakby śnił, prosił pana... leżał się krzyku, bo się psów, nie pozwalała się golić i bez opieki nie rusza się na krok. I codziennie rano muszę go wyprowadzać na Karpacką, na której właśnie dziś zastał nas pan udając się z psem na przechadzkę. Teraz rozumie pan dlaczego Grześ na widok rudzieleca rzucił się z krzykiem do ucieczki.

— Pani droga — przerwałem — czym ja się odwiedzę, za ten przestrach spowodowany przez mego psa... Nie zaznam spokoju w domu, ani w biurze, dopóki łaskawa pani... prosiłem, patrząc jej błagalnie w oczy...

— Mój Grześ — odpowiedziała — grając na organkach bardzo się cieszy, gdy mu ktoś zasalutuje, lub uchyli nakrycia głowy, co nie zdarzyło się już od kilku lat, bo hymn ma znaczenie wtedy, kiedy go grać nie wolno... prosił pana... kiedy gdyby pan...

Pocałowałem jej dłoń, nie słuchając dalszych relacji zrozpaczonej matki. A nazajutrz rano, po raz pierwszy bez psa udałem się okrężną drogą na ulicę Karpacką, by zgodnie z przyrzeczeniem przeddefiniować przed nieszczęśliwym Grzesiem.

Pachniały w pobliskich ogrodach rozkwitłe kasztany, napełniając ćwierkanie wróbił — gdy stanąłem na umówionym zakręcie. Sądziłem, że będę spóźniony, bo było po piątej, ale ujrzałem ich z daleka w zakręcie uliczki. Ona — nieruchoma jak posąg, a obok on, w podskokach, wygrywający na organkach. Udawała, że mnie nie dostrzega, ale ja ruszyłem z namaszczeniem. Ona stała, on wygrywał, a ja kroczyłem przed nimi salutując. Więc siedłem i szedłem, a ona stała, a on grał i grał tę niewystawioną, wzniosłą, najpiękniejszą melodię na świecie, ale dla niego tragiczną, straszoną jaką wieko trumny granatem, niewyraźną, jęklącą z powtarzającym się wciąż motywem „Jeszcze Polska... Jeszcze Polska...”

Już dawno ich minąłem a on grał i grał, a mnie zjeżyły się włosy na głowie, bo zdawało mi się, że w powtarzającej się melodii Jeszcze Polska, Jeszcze Polska — słyszę rozpaczliwy krzyk katowanego Grzesia: Jezu, Jezu! Boże, Boże!

Wtedy zadrgało mi serce i z płaczem rzuciłem się do ucieczki.

#### ROMAN ŁOBODA

## Homeostat

Oto jestem bez granic  
bez kudiów  
bez skóry  
pies nagi  
z świecącymi nerwami

Oto odrzucam  
całą resztę zwierzęcości  
pod wierzchołkami horyzontów  
razem z wspomnieniem,  
pcheł i gasnących latarni

Przezroczystość to moja natura  
szklana odzwierzęcona  
Włączony w transmisję  
miedzianych drutów i kabli  
poddany korelacji materii  
w galaktyce obecny ultrafalami  
ocieram się o Ciebie

Podaję Ci moją twarz  
pod palców pieczętów pod ciepło

Drżysz  
Szukasz w bezbarwnym plastyku  
oczu nieobecnych

Odechodzisz

Kudły moje rozwił wiatr  
i skóra głęboko w ziemi  
zostało pragnienie bólu



## Rzeka

Jest nagość powietrza  
i twardość kamienia w przepływie  
a nachylony cień pragnie  
wizerunku w nurcie

Wszystko w rozdzielaniu  
dla siebie  
(do ciepła rąk)

Woda milcząco przetacza  
spragnione kamienie  
dołem nieustający prąd  
w głębi czerń dna

Wszystko napięte  
ku sobie  
(do ciepła ust)

Zakrepla rzeka grzbietem  
słońcem i wodą  
w bursztynie skamieniałego światła  
w głąb i nad czernią dna

Wszystko napięte  
w sobie  
(do żaru ud)

Gdy Ty  
Twój złoty brzuch  
i ciepło rąk  
i ciepło oczu  
nade mną.



Niemiecki historyk Ernst Eilsberger, opisując w swojej książce pt.: „Przerwanie frontu pod Brzeziniami 24 listopada 1914” wojenny cmentarz pod Rzgowem, ocenił go jako „Jeden z najpiękniejszych” i tak było istotnie! Niestety, dziś z dawnej świetności tego historycznego obiektu pozostały żałosne szczątki. Jeszcze tylko — tak jak dawniej — na samym szczycie wznieślenia wznosi się w górę monumentalna, kamienna mogiła z tablicą, głosząca, że tu spoczywa 2 000 dzielnych wojowników. Jeszcze tylko opadał, w nieruchomej paradzie, stół rząd kamiennych słupów — tablic, na których uwieczniono nazwy poszczególnych niemieckich dywizji i pułków, biorących udział w bitwie o Łódź, która toczyła się tu równo przed pięćdziesięciami laty. Jednakże napisy przeżarli już czas, trochę egzotycznie brzmią też nazwy poszczególnych formacji, jak „kirasjerzy”, „dragoni”.

Poniżej i powyżej mnóstwo wspólnych mogił wielu tysięcy piechurów niemieckich i rosyjskich. Oni na pojedynczych grobach żołnierzy niemieckich jeżył się las kamiennych i drewnianych krzyży. Wśród wyrzniętych na nich nazwisk znalazło się niemało polskich — poznaniaków i Ślązaków, zmuszonych do walki z operującymi tutaj (i to bardzo odważnie!) dywizjami syberyjskimi, wśród których krwawiło również wielu Polaków.

Dziś rzgowski cmentarz wojenny jest właściwie zdzi czalym lasem. Tylko tu i tam szarzące jeszcze groby zbiorowe mówią o jego

właściwym charakterze i przypominają, że w dniach 21 i 22 listopada roku 1914 toczyła się tutaj niezwykle krwawa bitwa, która przeszła do historii jako jedna z największych operacji, przeprowadzonych w czasie pierwszej wojny światowej na terenie byłej Kongresówki.

Sama bitwa o Łódź miała ramy znacznie szersze. Tu jednak uwzględnimy te tylko jej bardzo dramatyczne i krwawe fragmenty, które rozegrały się wyłącznie na terenie południowo-wschodnim, przy czym nie sposób nie zahaczyć o ogólną sytuację na innych odcinkach czasu i terenu.

Niemcy — jak wiadomo — przystąpili do wojny z Rosją 4 sierpnia, walcząc ze zmiennym szczęściem. Wojska niemieckie dwukrotnie już zajęły Łódź. Za drugim razem (w związku z przesuwaniem się frontu spod Warszawy) ustąpiły one z miasta 27 października, tak, że już nazajutrz — poprzedzone przez patrole kozackie — weszły tu pułki rosyjskie pod wodzą generała Scheidemanna.

W mieście, w którym ożywiona działalność prowadził Komitet Obywatelski, nastąpiło pewne uspokojenie, do czego w niemałym stopniu przyczyniły się zarządzenia komendanta miasta pułkownika Baumgartena oraz jego następcy kapitana Teodorowicza. Zaczęły wracać fale uchodźców i gazety ustalały temperaturę optymizmu.

Jednakże idylla trwała niedługo. 11 listopada generał Hindenburg, zwycięzca spod Tannenbergu, przystą-

pił do nowej ofensywy, której założeniem było: przesuwać poszczególnie dywizje z północy na południe, a z południa na północ stworzyć kołisko, zamkające się na wschód od Łodzi tak, ażeby oskrzydlić operującą tutaj 2 armię rosyjską oraz część armii I, i odciać ją od głównych sił, zmasowanych przez wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza na froncie śląskim.

### Przed 50 laty

## BITWA POD RZGOWEM

W związku z tym już 17 listopada grenadierzy niemieccy opanowali Łęczycę, a w dwa dni później linia frontu, podchodząc od północy pod Łódź, ustaliła się na odcinku Aleksandrów, Zgierz, Stryków.

Armia rosyjska zaczęła bronić Łodzi pod wodzą generała Scheidemanna, znała się w krytycznym położeniu, albowiem równocześnie od południa okrażał ją XXV korpus niemiecki — dywizje generała Scheffla i Litzmanna. Już 20 listopada okopały się one mniej więcej na linii Wisłitno, Starowa Góra, Rzgów, Gospodarz. Zmasowały się tu silne ugrupowania niemieckie złożone z V i VI brygady gwardii, 49 i 50 dywizji rezerwowej o-

raz z VI i IX brygady kawalerii, mając od północno-go wschodu kontakty z XX korpusem.

21 listopada był dniem nie zwykle krwawych i nieustępliwych bojów. Obie strony walczyły z niezwykłym męstwem i determinacją, ponosząc ciężkie straty.

Równie zacięte boje prowadzono na odcinku Gospodarz i Wisłitno.

Przez cały ten czas artyleria niemiecka ostrzeliwu-

je przedmieścia, a i centrum Łodzi. Są wielkie straty wśród ludności cywilnej, nie mówiąc już o zniszczeniu wielu domów.

Jednakże sytuacja Niemców zmienia się wkrótce na niekorzyść. Od północy nadciąga rosyjska armia Rennenkampfa, od południa podąża piąta armia rosyjska pod dowództwem Plehwego. Niezależnie od tego IV armia rosyjska stoi w gotowości bojowej pod Skiernewicami. Tak więc wojska niemieckie, nacierające od Rzgowa, znalazły się niemal w okrążeniu. Czy przebił się przez Łódź? Zadanie jest arcytrudne do wykonania, albowiem na ulicach wylotowych miasta stoją kartaczońnice i rosyjskie karabiny maszynowe...

Generał von Scheffer otrzymał 22. XI. z głównej komendy armii rozkaz:

„Nowe ataki nieprzyjacielskie zagrażają naszemu XX korpusowi pod Brzeziniami i Strykowem. XXV korpus rezerwowi wykorzystać ciemności, ma odcierwać się od nieprzyjaciela i cofnąć za rzekę Miazgę. Rano atak na Brzeziny celem odciążenia XX korpusu i związania przerwanej linii frontu.”

Generał von Scheffer i generał Litzmann mimo wielkich trudności zrealizowali powyższy plan operacyjny. Przerwanie frontu pod Brzeziniami powiodło im się, dzięki czemu uratowano trzy dywizje piechoty i dwie brygady kawalerii, a nawet wyprowadzono rannych.

Dywizje niemieckie wyszły z okrążenia i wypełniły lukę frontu przerwanego na północ od Brzezin. Generał Litzmann wszedł też do historii batalistyk niemieckiej. Gdy w roku 1939 Niemcy hitlerowskie zajęły Łódź, na jego cześć miasto nazwano „Litzmannstadt”.

Triumfujące wojska rosyjskie opanowały krwawo pobojowisko pod Rzgowem. Przedstawiało ono straszliwy widok. Oto co na ten temat pisze Mieczysław Hertz w swojej książce pt. „Łódź w czasie wielkiej wojny”.

„Po posiedzeniu w pięć osób wybraliśmy się na pobojowisko za Rudą Pabianicką w stronę Rzgowa. Pierwszy raz w życiu oglądałem pobojowisko. Wrażenie okropne. Masy trupów żołnierzy i oficerów niemieckich. Zwiędzaliśmy dwie pozycje: niemiecką, atakującą, i rosyjską — od

strony Rudy Pabianickiej — broniącą. Trupy żołnierzy, zastylłe w najrozmaitszych pozach przedśmiertnych — tak, jak szli i padali, idąc do ataku, widocznie na bagnety. Prócz tego okopy niemieckie, a w nich masy trupów. Żołnierze niemieccy jeszcze niepożrebiani — grzebić ich będzie gmina, gdy tymczasem rosyjskie trupy już uprzątnięte i pogrzebane. Dużo bratnich mogił poległych żołnierzy — wszystko z 4-go syberyjskiego pułku strzeleckiego.”

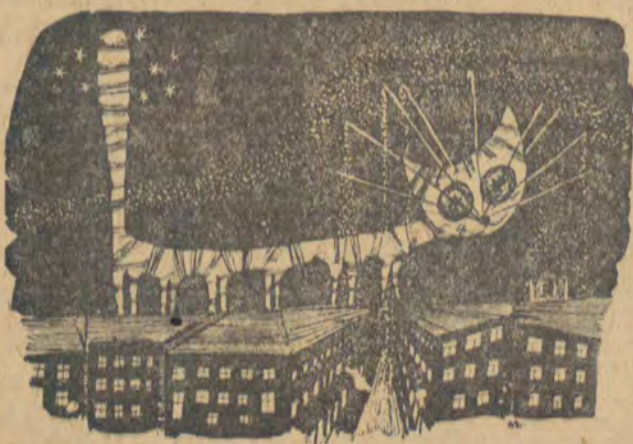
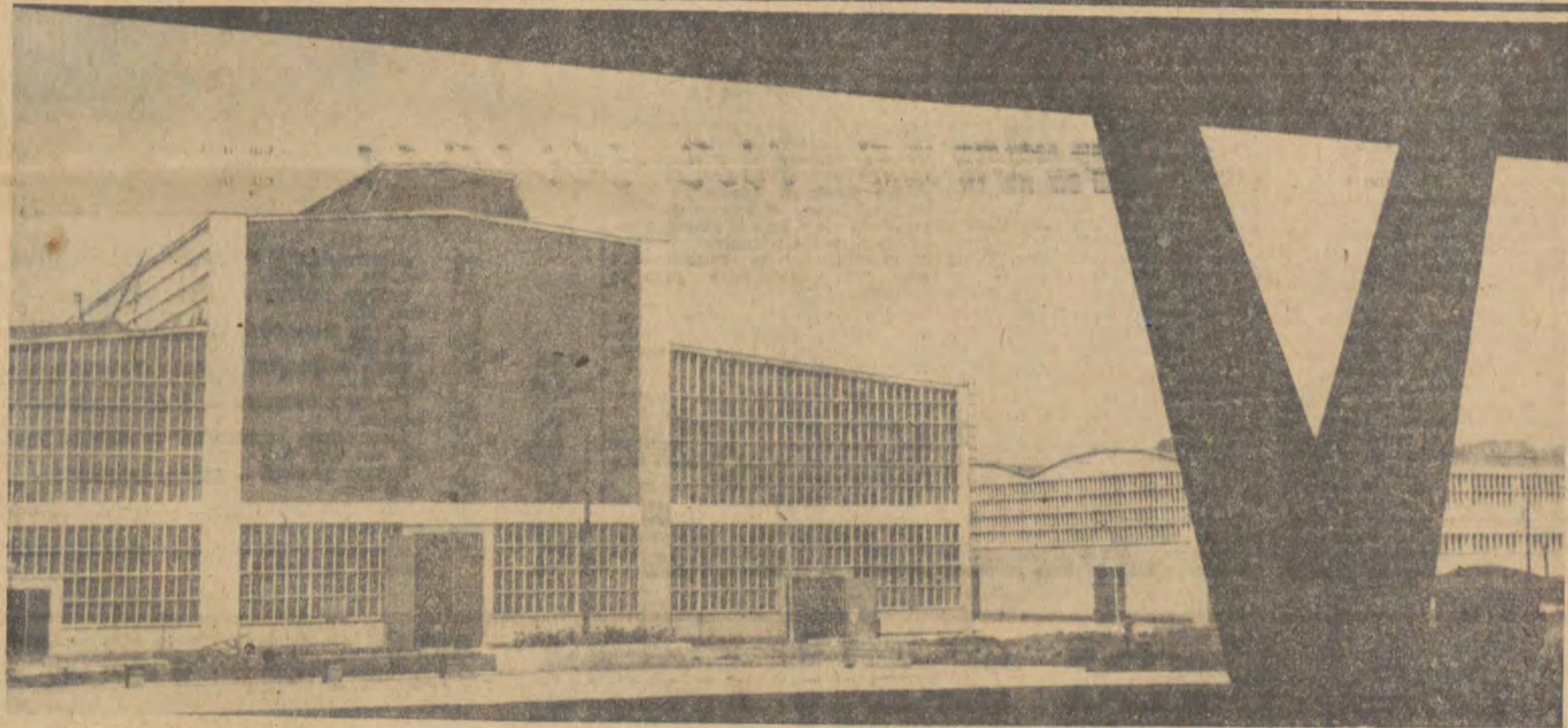
„Ale walka o Łódź trwać będzie jeszcze dalsze dwa tygodnie. Niemcy, naciskając od strony Zgierza, mimo ciężkich strat nie rezygnują z dalszych szturmów. Również i samo miasto bombardowane jest w dalszym ciągu.”

Hindenburg przerzuca na ten odcinek nowe siły, tak, że z kolei wojskom rosyjskim, broniącym Łodzi, grozi okrążenie. Ażeby nie dopuścić do tego, 5 grudnia przebili się śmiałym manewrem przez otaczający je pierścień nieprzyjacielskich pułków. Nazajutrz 6 grudnia, wojska niemieckie wkroczyły do miasta, ażeby pozostać tu aż do końca pierwszej wojny światowej.

Kończąc tę krótką relację o walkach rosyjsko-niemieckich pod Rzgowem, nie sposób nie wystąpić z propozycją: czy nie warto by znaleźć środków i sposobów ażeby wojenny cmentarz w Rzgowie — niezwykle interesujący obiekt historyczny — ocalić od dalszego niszczenia? A może by z jakąś słuszną inicjatywą wystąpiło tutaj TPL?

MIECZYŚLAW JAGOSZEWSKI

„Ełta” — fot. E. Kwadał



## n o c

Z trudem wydobywałem się na stromy dach, mijając przostapadłe ściany, czepiałem się gzymsów i ram okiennych; czułem się ostrożnie w górę. Wywikłem się na kraniec

dachu i chwilę odpoczywałem; obawiałem się spojrzeć w przeświat ulic i podwórek leżących nisko w mroku. Kątem oka dostrzegałem kwadraty okien plonące żółtym i białym swia-

tem, z dna ciemnych tuneli ułatywały w górę po kilka lub kilkanaście.

Przelatując nade mną zostawiały smugi światła na ciemniejącym niebie. Położyłem się na wznak obserwując gonitwę okien, które znikły za horyzontem. Świat stał się kolisty i przymykałem oczy, aby nie doznać zawrotu głowy. Okna przelatywały — miejsce świetnego kołowrotu zajęła ciemność, lagodzona delikatną poświatą.

Dachy odcinały się teraz czernią od nieboskionu, a kominy niepewnie bieleły w mroku. Wstałem i zacząłem wędrować wybierając drogę po szczytach dachów. Przeszedłem parę kamienic uporczywie patrząc w górę, aby nie stracić równowagi. Chwilami musiałem iść po samej krawędzi dachu ze względu na las kominów, które rozsiadły się tak gęsto, że zostawiały mi tylko wąskie przejścia tuż nad rynną. Ale na to znalazłem sposób: puszczałem się biegiem od kominu do kominu, zatrzymując się chwilę przy każdym. Z dołu dochodził mnie stłumiony gwar ludzkich głosów, szurkot leżących nisko w mroku, koskot pojazdów, i oddalone dzwonki tramwajów.

Zza czarnego zbrocza dachu wysunął się księżyc i nagle wszystko stało się zimne i o-

stre. Poczulem panikę i zacząłem biec — biegiem coraz szybciej, pomykałem kamienicami chcąc uciec goniacemu mnie księżycowi. Przeskoczyłem susem mroczny parów ulicy i zszalełem się na sąsiedniej kondygnacji dachów. Ale tu sprawa była trudniejsza: dachy miały pełno nadbudówek i tarasowate wznosiły się nieregularnymi piętrami. Czepiałem się wystających cegieł rozczepionymi palcami. Droga stawała się uciążliwa, więc obliczając siły, posuwałem się znacznie wolniej, słyszałem jak kominy puszczają coraz głośniejszym rytmem. Wreszcie wdrapałem się na długi dach równy jak stół i postanowiłem odpocząć.

(Księżyc pozostał w dole, oświetlał tylko ściany domów). Siedząc z wyprostowanymi nogami oparty o chropowaty komin widziałem gwiazdy wschodzące z dołu w górę; każda z nich posiadała inny kształt: rogaty, kolisty, wielokątny, spiralny. Wznosiły się luktem, chwilę przystawały i wchodziły do kominów, inne gwiazdy czekały swej kolejki, gdyż kominów było za mało, aby wszy skie od razu mogły wejść. Wstałem i poszedłem dalej. Księżyc zapłatał się w dolne piętra, a gwiazd coraz bardziej ubywało. Obawiając się

zupelnym ciemności, w których mogłem się zgubić, rozczepiałem się wokół: Na dachach leżała spora ilość kamieni; — były to otoczki naniesione przez wiatr, kamienie były okrągłe i płaskie, niektóre ogromne. Inne zupełnie małe. Podniosłem większy i nakryłem nim najbliższy komin; uczyniłem to w samą porę, gdyż wszyskie gwiazdy znalazły już swoje locum, ostatnia tylko stanęła nad zatkany kominem i wahała się w górę, w dół, w prawo i lewo.

Dachy się wyrównały i uformowały długą, równą powierzchnię.

Od gwiazdy odszedłem już daleko i słabe jej promienie docierały do mnie już tylko poizono.

Gdy tak siedziałem pewnie już i swobodnie, zza kominu wybiegł i stanął przede mną kot. Chwilę się zważałem, ale po bliższych oględzinach kot okazał się niegroźny. Postąpiłem parę kroków w jego kierunku, nie atakował mnie ani też nie uciekał.

Wyminałem go. Biegi przy mnie miękłymi skokami tak, że i ja musiałem przyspieszyć kroku. Co jakiś czas przyglądałem mu się z boku; oczy miał iskrujące zielonym fosforem, a wąsami za-

czepiał o miedzianą drogę tak, że pył gwiazdny sypał się w wąwozy ulic.

Zauważyłem także że przy każdym skoku wyrasta mu nowa para przednich łap.

Obejrzałem się. Tułów kota, opatrzone niegłębioną ilością nóg wydłużał się w nieskończoność. Rozciągał się wstecz nie ruszając z miejsca tylnej części ciała, a właściwie dwóch tylnych łap.

Nad wyprostowanym pionowo niebotycznym ogonem ustawicznie pojawiały się i gasły przelatujące meteory. Jednocześnie z przodu go przybywało, rozciągał się jak wał. W miarę posuwania się naprzód powstawały w nim nowe segmenty tak, że nie ruszając się z miejsca, równo szedł za mną.

Miniłem dach całej całej Piotrkowskiej, placu Wolności i okretną drogą kładącą po szczytach kamienic i skacząc z dachu na dach zszedliśmy ku Bałutom.

Kot miał tak niezłomne możliwości, że przestałem w końcu zwracać na niego uwagę.

Więcej już się nie oglądając wiedząc, że jego ciało rozciągnięte w niewiarygodny sposób ginie w mrocznej perspektywie nocny.

WACŁAW KONDEK

# TPE

Nie jestem dostatecznie zorientowany, abym mógł stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, od kiedy to poczucie przynależności do Łodzi w sensie intymnych związków z tym miastem stało się powszechne wśród jego mieszkańców, okazywane tak na co dzień wobec siebie i innych, wypowiedane z akcentem dumy. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż sam fakt narodzin w jakimś miejscu, a nawet pozostawanie tam przez pewien czas, nie wywołuje jeszcze owych afektów serdecznych, które nazywamy lokalnym patriotyzmem.

Istnieją miasta, jak np. Warszawa, czy Kraków, do których przynależność jest swoistym wyróżnikiem, rehabilitacją, wyniesieniem niejako z podłej kondycji prowincjonalnej. Tak bywało, zdarza się to nadal, i ci którzy osobliwie zapobiegliwa mama urodziła w warszawskiej klinice, albo ci, co rychło wynieśli się z rozmaitych Obrzydłówek — żarliwie powołują się na swoją stołeczną czy podwarszawską prowincjonalność. Czytałem niedawno artykuł znanego poety, urodzonego pod łódzkimi dymami, który zapewniał solemnnie, iż nie zna Łodzi.

Zaprzeczyc natomiast nie wolno, że mieszkają tutaj tysiące ludzi z ostrą świadomością swej łódzkości, wczesni twardzi i miłośnicy w ten bruk i żaden z żywiołów nie zdołałby ich stad oderwać i przesadzić w inną glebę.

Wszakże ukrywać nie ma też powodu, że spotykamy się niekiedy z czymś, co określić by można kłopotliwością trwania w tej szerokości. Argumenty onych bywają różne, wyszukać łub banalne zgoda dość, iż swą obecność traktować zwykli za stan przejściowy, za rodzaj przymusowej zsyłki, złowrogie odosobnienie. Od europejskiego oddechu, od napięcia cywilizacyjnych, od starożytności, która odbarwia się omszałością murów, liczebnością pomników, mową dostojnej tradycji. I nie, żadne fakty, nie zlamia ich przewidywania — są obojętni, nieczuli, nieprzemakalni na

wszelkie zjawiska. Złorzeczą jeno na aromaty Widzewa, na zachlanną samowystarczalność Piotrkowskiej, na szare monotonne twarze fabryk.

Są jeszcze inni, bo Łódź jest tygłem albo mozaiką. Przybyli do tego miasta z wyboru lub z konieczności, znad różnych rzek, z Wilna i ze Lwowa, ze wsi nadbużańskich i z pobliskich miasteczek, w poszukiwaniu chleba. I w poszukiwaniu nowego domu, nowych ulic, nowych sąsiadów. Swej małej ojczyzny.

Nikt dotąd nie opisał, z jakim mozołem wrastali w stłoczone bryły kamieni i cegieł, w obce obyczaje, jak długo przyzwyczajali oczy do butwiejących płotów i nadąsanych, strojnych pałacików, o czym myśleli w zatłoczonych tramwajach i w dusznych halach maszyn. Zostając — zaczęli się stapiać z otoczeniem, odnajdywać w ściemniałym powietrzu swojski zapach, wnosić odmienny temperament, obyczaje i z wolna jeli kształtować dzisiejszy obraz miasta, który przed ćwierćwieczem był wizją marzyciela. Zapuszczając korzenie, pamiętali o tym, co tutaj zastali i zrosili się z tym, co sami już stworzyli, nie wiedząc o przeszłości, a może nie kochając jeszcze dzieła własnych rąk, tej rozchylającej się uparcie panoramy miasta, które również da się lubić.

I oto przed pięciu dokładnie laty zawiązało się grono — nie wymieniamy nazwisk, myślimy o nich trzema literkami tytułu — grono zuchwałe i mądre, przewidujące i wrażliwe, inspirowane przez owe fluidy lokalnego rozmiłowania, i postanowiło wskrzesić pamięć Łodzi dawnej, odstąpić jej przyćmione blaski i kolory, a tę, która trwa — otoczyć opieką, szacunkiem, sentymentem. Statut, jaki ułożono, nie jest jeszcze poźółkłym papierem, łatwo odczytać, iż „Towarzystwo Przyjaciół Łodzi ma na celu krzewienie miłości do Łodzi, pielęgnowanie pięknych jej tradycji, upowszechnianie wiedzy o tym mieście, o jego rozwoju historycznym i pracy dnia dzisiejszego”. Inicjatywa ta nie była aktem spontanicznym, potrzebą tkliwa grupki entuzjastów. Okazało się, że tuż pod naskórkim tysięcy płyciej lub głębiej osiadłych łódzian pulsuje jakiś rytm żywszy. Wystarczyło rzucić myśl: wszystko co łódzkie nie jest nam obce, aby wyzwolić i poruszyć co najmniej kilka megawatów energii. Udowodniliśmy sobie, pokazaliśmy też innym — kilka miast skopiowało natychmiast ten model, m.in. w trzy lata później Warszawa — że na tej pustyni, jak mawiamy czasem, bija jednak źródła społecznej pasji. I miłość do „tego miasta”. Do „złego miasta”? Kto by przy puszczał, że odnajdzie się tu aż 18.000 członków, że tak ohocho przystąpią do licznych akcji młodzież szkolna i tramwajarze, milicjanci, emeryci i robotnicy, nawet w dalekiej Australii zgłosili się sympatycy. Są członkami i osobistości nie lada: Marszałek Polski Marian Spychalski i dowódcy oddziałów radzieckich, którzy oswobodzili Łódź.

Ruszone do roboty z małą sumką 1.259 zł, rzuconą do kapełusza, obniesionego na pierwszym walnym zebraniu. Później przyszły pieniądze od miejscowych potentatów, przede wszystkim od Zakładów Przemysłu Bawełnianego i Maja i Zakł. im. J. Marchlewskiego. Nie wiem, ile do dzisiaj uciulano grosza, lecz wszyscy, co myśkują za groszem publicznym, szukają subwencji — chea wydać książkę czy plakat — biega śmiało do TPE. I zazwyczaj otrzymują.

Trudno byłoby wymienić wszystkie kierunki natarcia, jakie już podjęto i zakończono sukcesem. Z namacalnych dowodów prężnego działania pozostaną

niewątpliwie wydawnictwa, takie jak „Łódź w latach 1945—1960”, pierwsza próba monograficznego ujęcia, jak Plan Miasta, czy pamiątkowe tablice, i owa dziewczyna z pasażu, wielce powabna; przydająca wdzięku temu zakątkowi. Jeszcze w tym roku o-puszczą drukarnie: „Teatr pokole-nia” M. Czernerle, Rocznik Ek-onomicz-no-Społeczny i Rocznik Muzeum Sztuki m. Łodzi — wszystkie te publikacje przy współudziale finansowym i organizacyjnym Towarzystwa. Akcje, które pozostając tylko we wspomnieniu uczestników, mają walor nie mniej istotny, bo zapoznają z historią i teraźniejszością miasta i re-gionu — to wycieczki autokarami lub rowerami z przewodnikiem. Albo do-rożkami, które zachowują w pejzażu wielkomięjskim ponadto i poetyczną szkapę, co stwierdził już autorytatyw nie sam mistrz Ildefons. A spaceru szlakiem rewolucyjnych walk czy na miejsca powstańców mogli i gro-bów aktorów, zatrzymują przeszłość tutejszą. Włączają ją w teraźniej-szość.

Pisać by trzeba i o akcji „kreda po asfalcie” — raj milusińskich — i o akcji „szperania po szufladach”, która wydobyla zapomniane dokumenty, stając się zaczątkiem biblioteki. I o wielu konkursach, na wiersz, na plakat, o nagrodach dla krytyków te-atralnych; ostatnio ufundowano pierwszą nagrodę literacką, którą o-trzymał Antoni Kasprowicz.

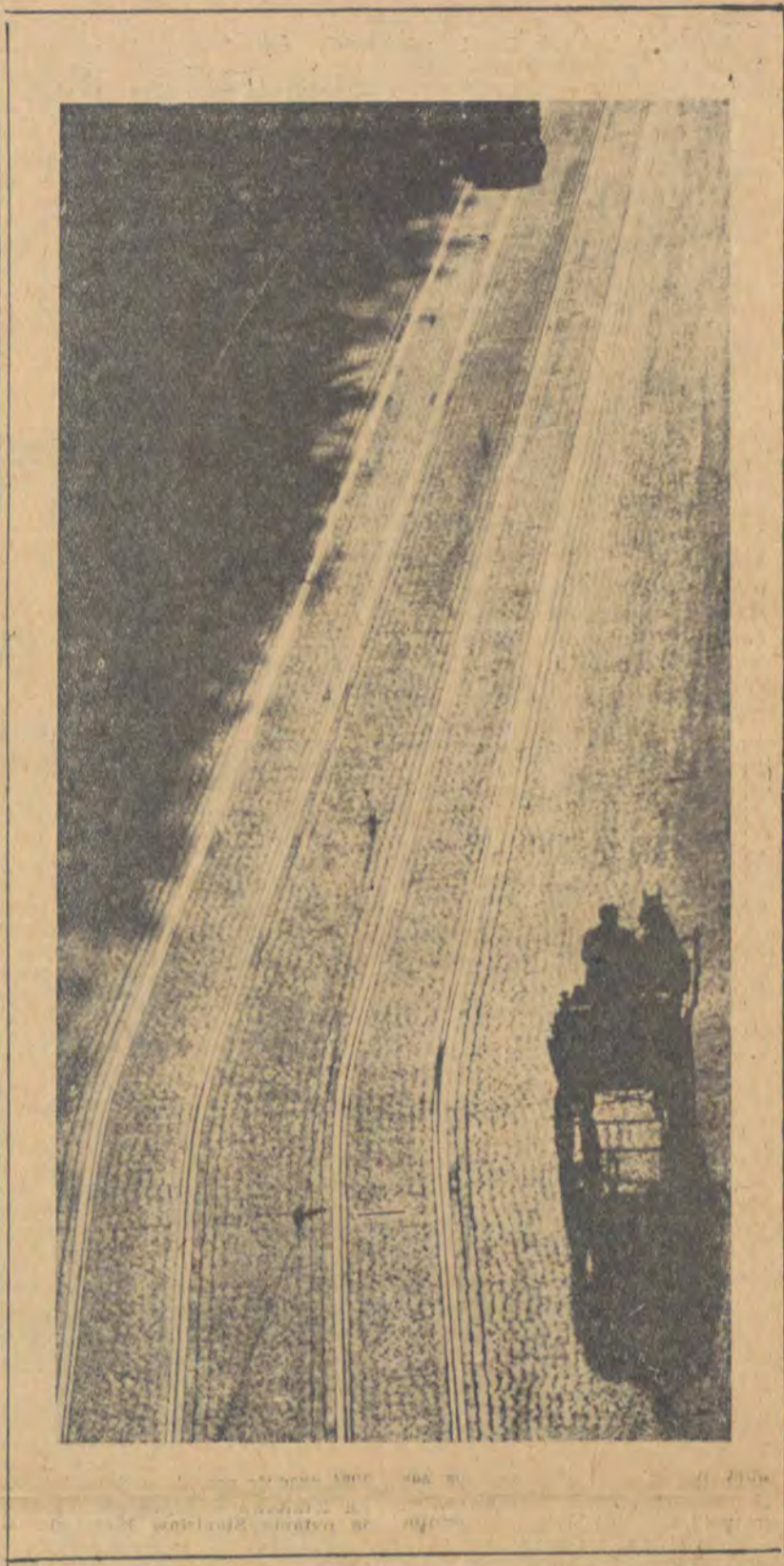
Napisać by należało i o Klubie Mi-łośników Teatru, o jego prelekcjach i zbiorowych wypadach na spektakle, o jego cennej zdobyczy jak uzyskanie 50 proc. zniżki do wszystkich teatrów. A dalej — o trosce o este-tyczny wygląd łódzich zakamarków, o włączeniu się w akcję „15 minut pod dachem”.

Czyni potwierdzają naszą spraw-ność, są zawsze przerwaniem zastoju lub apatii, wprowadzaniem i dyna-mizowaniem elementów, z jakich powstaje rzeczywistość indywidualna i społeczna. Mierzymy je zwykle e-ktami. Istnieją wszak wartości nie-wymierne w żadnych jednostkach, a mimo to równoważne tym, które po-trafimy opisać czy zważyć. To wyra-bianie wrażliwości na to, co nas otacza, to kształtowanie smaku, to wdra-żanie nawyków, wywoływanie, a potem pielęgnowanie, staranne i wy-trwałe, pewnych uczuć i postaw ludz-kich. Kultura składa się z ciągów tradycji, wysnuwanych pracą poko-leń. Ktoś zauważył, iż Łódź ma już np. uniwersyteckie tradycje, skoro pierwsi profesorowie przeszli na eme-ryturę — zapomnieli tylko zauważyć, że nie tu zaczęli swą karierę. To miasto posiada tradycje, my sami kon-tynuujemy je i stwarzamy nowe. Tyl-ko świadomość braku zaplecza kul-turowego przynosi poczucie próżni i tymczasowości, a stąd krok do kom-pleksu prowincji. Mocna „związanie się z miejscem, w którym się żyje, zespolenie się z jego sprawami, z je-go pracą, wiara w użyteczność dzia-łania, nadaje chyba niezależność i sens, bez względu na to, gdzie się znajdujemy.

Jakoś w tej płaszczyźnie dostrze-gam multum korzyści, jakie Towar-zystwo Przyjaciół Łodzi tak hojnie rozznacza pro publico bono.

Jest coś krzepiącego, coś o znacze-niu symbolicznym, że jego ster dzier-ży w swych rękach Eugeniusz Ajnen-kiel, podzielnin: jego biografia umysławia to, co jest treścią i ideą przewodnią poczynań TPE.

Ludziom, którzy znaleźli się w tych szeregach i świadczą ohocho na rzecz Miasta pozostaje jeno życzyć, by utrzymali to samo tętno, ten sam temperament, tę samą sprawność.



## Książki nadesłane

- OPOWIADANIA WYBRANE** — Kornel Filipowicz — str. 440, cena 35,—  
**WYBOR POEZJI** — Rilke Maria Reiner — str. 278, cena 35,—  
**BAJKI ROBOTÓW** — Stanisław Lem — str. 236, cena 20,—  
**CZAS NIELUDZKI** — Stefan Otwinowski — str. 171, cena 12,—  
**ORZEŁ I ORZELEK** — Adam Augustyn — str. 154, cena 12,—  
**FIOLETOWE PÓNCZOCHY** — Gabriela Zapolska — str. 294, cena 19,—  
**TYLKO PAMIĘĆ** — Bohdan Drozdowski — str. 155, cena 14,—  
**KOPIEC WSPOMNIENI** — praca zbiorowa — str. 617, cena 75,—  
 Wszystkie książki wydane są przez Wydawnictwo Li-  
 terackie — Kraków.

**Witka**  
**ZKSIĄŻKAMI**

„ORZEŁ I ORZELEK”

Młody człowiek, który niebawem skończy trzydziści lat, nie zdążył jeszcze znaleźć swego miejsca w świecie. Próbował różnych prac — nie wychodziło. Był urzędnikiem, agentem przedsiębiorstwa rozrywkowego, czym nie był? Wszędzie jednak po przeprowadzeniu krótkiego okresu czasu — składał wymówienie, twierdząc, że zostanie niebawem wicedyrektorem jakiejś mitycznej fabryki gwoździ. Mogłby również dobrze twierdzić, że zostanie wiceministrem. Był

zdolny; wszędzie otrzymywał pierwszorzędne opinie. Wreszcie — ten bywało krakowski kawał — i innych lokalnie — stał się nauczycielem w wielkiej szkole w pobliżu Krakowa. Jego pierwsza nauczycielska pensja wynosiła zaledwie 900 zł. Przy pierwszym zekniceniu jego szkoły, wszystko zaczyna mu się tu nie podobać. Odnosimy wrażenie, że i w szkole nasz bohater duszo miejsca nie zagrzeje. Równoległe rozwija się wątek innego rodzaju. Jest dziewczyna, tajemnicza dziewczyna, która pojawia się na moment i równie tajemniczo znika, by wrócić na końcu książki, ale nie opuszcza ona bohatera przez cały czas — jest on przy niej myślimi.

Akcję towarzyszy przez cały czas refleksja, bohater zastanawia się czym warunkowane było jego dotychczasowe postępowanie, co legło u podstaw jego dotychczasowej postawy. Bo on sam czuje że uległ procesowi frustracji. W ciągu kilku tygodni, które spędził w szkole nastąpiły w nim wielkie przemiany, można powiedzieć, bez przesady, że szkoła i wszystkie jej sprawy — wciągnęły go, związały z tą instytucją na długo, może na zawsze?

Książka Augustyna jest debiutem, ambitnym debiutem, choć napisał ją bardzo prosiutkenko, bez specjalnych zabiegów, bez zbyteknie silenia się na nowoczesność. Proza ta wciąga jednak czytelnika, niepokoi, jest żywa i potoczna. Autor wykazuje skłonność do groteski i żartu lirycznego, nieczęsto spotykanych u współczesnych młodych pisarzy. Myślę, że powieść ta stanowić może ciekawą barwę w naszej prozie. W każdym razie odbiega barwą od sztamowych wzorców, jakie stworzono w ciągu ostatnich lat.

Adam Augustyn „Orzeł i orzełek”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1964, cena 12 zł.

„OFICER NAJWIĘKSZYCH NADZIEI”

Słowa stanowiące tytuł nowej książki Mariana Brandysa wypowiedział przed laty w raporcie do Dyktoriiatu Napoleon, za wiadamiąjąc najwyższe władze Francji o śmierci swego adiutanta Józefa Sułkowskiego.

Postać romantyka i jakobina była już przedmiotem wielu opracowań naukowych zainspirowała wielu znakomitych pisarzy. W świadomości prze-

ciętnego Polaka więcej jest jednak mitów literackich o Sułkowskim, niż rzeczywistej wiedzy o tym nieprzejędnym radyka-le i... konkurencie Napoleona do stanowiska głow-nodowodzącego armii Fran-cuzów. Trzeba zszasta stwierdzić, że sama biog-rafia „oficera największych nadziei” prowokuje do wznoszenia coraz to bardziej nieprawdopodob-nych mitów. Sułkowski, jeśli wierzyć historykom, był synem dwóch ojców i trzech matek, a w dal-szym ciągu nie mamy pewności kim naprawdę był jego rodzic.

W swojej popularnej biografii Brandys nie rezygnując z prób ułoże-nia jakiegoś najbardziej prawdopodobnego i logicz-nego ciągu ze wszystkich dostępnych nam faktów biograficznych Sułkowskie-go, rysuje przede wszyst-kiem ewolucję ideową boha-tera egipskiej wyprawy Napoleona. Brandys robi to z konsekwencją. Przy-jęcie takiej linii postępowania pozwoliło pisarzowi na postawienie kilku hipotez, które w przekonującym sposób tłumaczą cały szereg niejasności w biogra-fii Sułkowskiego, szcze-gólnie zaś jego stosunek do Napoleona oraz stosu-nek późniejszego cesarza Francuzów do Polaka.

Brandys na dobre więc zakopał się w enoce na-

poleońskiej (poprzednią książkę poświęcił przecież Księciu Józefowi Poniatow-skiemu) i zdaje się specja-lizacja ta przynosi jak najlepsze owoce.

K. F.

Marian Brandys: „Oficer największych nadziei”. Wyd. „Iskry” 1964, cena zł 18.

„OPOWIEŚCI O LUDZIACH I ZDARZENIACH”

W przedmowie do swej nowej książki Ludwik Hieronim Morstin zastanawia się, do jakiego gatunku literackiego przypisać moż-na jego opowieści o lu-dziach i zdarzeniach. Mia-no eseju wydaje mu się nadto zaśszczone, wspom-nień — niezbyt ścisłe, trudno wspomnieć naz-wać szkło o Antygonie Calderonie, czy Maryli Wereszczakównie i jej roll w życiu i twórczości Mle-kiewicza. Osobiście naj-chętniej określiłbym Mor-stinowe opowieści jako gawędy, ale gawędy wy-sokiego, literackiego i in-telektualnego kalibru, na-cechowane wielką kultu-rą pióra i głębokim umi-łowaniem kultury — w tych zwłaszcza wątkach, które łączą antyk, rene-sans, romantyzm i Młodą

Polskę — ze współczesno-scią.

Te właśnie wątki sprawa-ją, że pod względem kompozycji książka Mor-stina nie robi wrażenia, mimo tematycznego bogactwa, chaosu materii lite-rackiej, lecz rysuje się zwartym, jednolitym pro-filem. Jest to zarazem profil samego Morstina, pisarza wśród pisarzy i artystów (portrety Staffa, Andrzeja Pronaszki), dra-maturga („Moje ostatnie przygody teatralne”), tu-macza arcydzieł antycznej Grecji i renesansowo-ba-ropkowej Hiszpanii, wiel-biciela Paryża, ale i mi-łośnika Krakowa, jego cy-ganerii, jego uniwersyte-tu (kapitałne wizerunki Władysława Natanson'a i Stanisława Tarnowskiego). Zatem profil rasowego hu-manisty, odciśkający się również na klarownym, prostym, stylu „Opowieści” — profil żywy iście młodzieńcza pasją i tem-peramentem, oddająca i tę książkę Morstina w ręce czytelników każdego pokolenia.

Z. P.

Ludwik Hieronim Morstin: „Opowieści o lu-dziach i zdarzeniach”, Czy-telnik, 1964, s. 223, cena 15 zł.



# PIĘTNASTOLECIE TEATRU NOWEGO

Rozmowa z dyrektorem Januszem Kłosińskim



**ODGŁOSY** — Teatr Nowy, świętujący obecnie swój mały jubileusz, przechodził różne chwile, wloty i zalamania; to obserwowaliśmy sami, ale nie wszyscy może pamiętają początki Waszej sceny. Pan, Dyrektorze, był w tym teatrze od pierwszych chwil jego istnienia, z jakiej atmosfery, czyich potrzeb, zainteresowań i z czyjego pomysłu powstał Teatr Nowy?

**DYR. JANUSZ KŁOSIŃSKI** — W roku 1949 dwa teatry łódzkie przenosiły się do Warszawy: Teatr Schillera i Teatr Axera. Schiller pozostał w Łodzi sporą częścią zespołu, na Jego miejsce wprowadzono z Wybrzeża Iwo Galla z tamtejszym zespołem. Axer wyjechał natomiast z całym dobytekiem. I wtedy to GRUPA MŁODYCH AKTORÓW wystąpiła do władz z petycją o przydzielenie po-axerowskiego teatru i po-rypetliach otrzymała go, najpierw z jednorazową trzymiesięczną subwencją, potem z całoroczną.

Ta Grupa Młodych Aktorów zawiązała się nieco wcześniej, już w r. 1948; składała się ona z aktorów teatru Schillera. Tworzyli ją: Danuśa Mancewicz, Bohdana Majda, Irena Remiszewska-Dejmkowa, Barbara Rachawska, Kazimierz Dejmek, Gustaw Lutkiewicz, Czesław Guzek, Tadeusz Minc, Janusz

Kłosiński, Wojciech Piłarski, Janusz Warmiński. Inicjatorem pierwszego zebrania był Dejmek.

Pierwsze zebrania skrykali zwały zadania Grupy: poprzez pracę samowychowawczą w zakresie wykształcenia ogólnego (również światopoglądowego) oraz umiejętności zawodowych — do utworzenia własnego teatru, w którym by można realizować własne, wspólnie sprezyżowane ideały życia i sztuki.

**ODGŁOSY** — Jaki był udział innych członków zespołu poza zapładniającą osobowością Kazimierza Dejmeka w historii powstania i rozwoju tej sceny?

**DYR. JANUSZ KŁOSIŃSKI** — Grupa składała się wyłącznie z aktorów (inne teatry powstawały z inspiracji literatów czy scenografów) pracowaliśmy bardzo ciężko wszyscy, wkład zespołu w oblicze naszego teatru był olbrzymi i wszechstronny. Wszystkie indywidualne pomysły oddawaliśmy do wspólnego kotła żywych i twórczych dyskusji. Nasi podówczas młodzi reżyserzy, najpierw Warmiński a potem Dejmek byli darzeni przez aktorów spontanicznym zaufaniem, mogli robić z nami co chcieli, może dlatego, że ich decyzje i pomysły były owocem tych właśnie naszych indywidualnych przemysłów i

wynikiem dyskusji. A jednocześnie — ponieważ zespół był młody i silny — również wszystkie organizacje społeczne kipiały życiem i torowały drogę głównemu nurtowi życia teatru — pracy artystycznej.

**ODGŁOSY** — Niekiedy mówią, że typ teatru zespołowego, jaki prowadził Dejmek w pewnym sensie nie dawał aktorom pełnych możliwości ich rozwoju, realizowania się ich osobistych aktorskich tęsknot i dyspozycji. Jak zdaniem Pana, jako aktora przede wszystkim, wyglądała ta sprawa?

**DYR. JANUSZ KŁOSIŃSKI** — Na to chyba najlepiej odpowiedziało samo życie. Nie znam aktora, który by przeszedł przez bujne życie TEATRU NOWEGO i nie zajmował dzisiaj notowanego stanowiska w świecie teatralnym Polski. Często nasze przedstawienia spotykały się ze sprzecznymi opiniami i reakcjami. Do teatru przychodzili listy pełne zachwytu ale także obieg i nawet pogroźki. Myślę, że to właśnie było świadectwem żywotności teatru, tej cnoty wszelkiej sztuki.

**ODGŁOSY** — Dyrekcja Teatru Nowego jest chyba dość zobowiązującym brzemieniem ze względu na świetną historię tej sceny. Jak Pan sobie wyobraża kontynuację linii tego teatru? Czy określa Pan ją sobie jakoś specjalnie w związku ze zmieniającą się sytuacją kulturalną miasta, przystaniem nowych pokoleń i z własnymi zainteresowaniami artystycznymi?

**DYR. JANUSZ KŁOSIŃSKI** — Teatr nie znosi kultuowania tradycji. Chyba, że pod pojęciem tradycji rozumiemy się świętą iskrę, która powoduje bujny rozkwit teatru, a której brak zamienia teatr w urząd do spraw sztuki. Życie się zmienia, my się zmieniamy. Przed teatrem stają codziennie nowe zadania. Teatr Nowy zresztą nigdy nie precyzował do końca swoich celów, raczej za cel stawiał sobie metodę twórczych poszukiwań i rewolucji nieustającej. I może właśnie to było dobre.

**ODGŁOSY** — Czego możemy się spodziewać po Teatrze Nowym w najbliższych latach?

**DYR. JANUSZ KŁOSIŃSKI** — Będziemy śmiało sięgali przede wszystkim po największy kaliber literatury światowej. Jeżeli nawet przegrzujemy to w największych bojach.

**ODGŁOSY** — Jakiego typu teatr przede wszystkim interesuje Pana?

**DYR. JANUSZ KŁOSIŃSKI** — Jeżeli chodzi o chwile poważnych zastanowień, sięgam do teatru poetyckiego. Jeżeli chodzi o dzień powszedni, przepadam za teatrem ludowym, rozkrzyżowanym, rubasznym, kolorowym. Wydaje mi się, że Brecht doskonale łączy w sobie te dwa gatunki.

# NADZIEJA I ROZCZAROWANIE

Nazwisko Tibora Dery opromienione jest legendą. Ten węgierski pisarz, dobiegający siedemdziesiątego roku życia, ma za sobą bogatą, nieledwie powieściową przeszłość. Studiował Akademię Handlu w Budapeszcie, a następnie został urzędnikiem w fabryce swojego wuja. Wcześniej związał się z ruchem robotniczym, po zorganizowaniu strajku w fabryce wuja, nie mógł pozostać tam dłużej. Rozstał się ze swoim urzędem i zaczął pisać wiersze i opowiadania. W roku 1918 wstąpił do Komunistycznej Partii Węgier, a w okresie Węgierskiej Republiki Rad (1919) sprawował ważne funkcje w dyrektoracie kultury i literatury. Gdy republika upadła, dostał się do więzienia, po uwolnieniu wywedrował do Wiednia, gdzie redagował gazetę w języku węgierskim, wydawał broszury, pisał powieści i nowele. W r. 1926 wrócił do Budapesztu i wespół z innymi pisarzami o nastawieniu lewicowym redaguje czasopismo „Dokumenty” oraz przekłada utwory z języków niemieckiego, francuskiego, angielskiego i włoskiego. M. in. w jego przekładzie ukazał się „Powrót z ZSRR” Andre Gide'a. Tibor Dery wiele podróżował. Zwiedził kraje skandynawskie i Niemcy, osiedlając się na parę lat w Berlinie. Gdy zbliżyły się lata hitlerizmu, opuścił Berlin, powrócił znowu na Węgry, skąd udał się do Dubrownika. Dalsze lata przeżywał w Wiedniu, rok w Hiszpanii, za propagowanie literatury radzieckiej władze węgierskie wtrącają go do więzienia, a od roku 1938 otrzymuje zakaz publikowania swoich utworów na Węgrzech. W czasie, gdy Węgry były okupowane przez Niemcy hitlerowskie, ukrywał się i współpracuje z węgierskim ruchem oporu. Po wojnie wstępuje do Partii Komunistycznej, dużo pisze i wydaje, zdobywa nagrody Kosutha, zasiada we władzach Związku Pisarzy. Po wypadkach 1956 roku dostaje się do więzienia. Po dwu latach kara zostaje mu darowana i Tibor Dery wychodzi na wolność.

Cto, skąd się wzięła legenda wokół Tibora Dery. Pisarz-społecznik, pisarz-działacz, pisarz-wiezieni, pisarz-sumienie narodu. Z tym większym zaciekleństwem wzięłam do ręki jego powieść pt. „Odpowiedź”, która choć powstała przed czterdziestu laty, dopiero teraz ukazuje się w naszym kraju. Jest to zresztą pierwszy tom zakrojonej na trzy tomy epopei, obejmującej lata międzywojenne. Powiem od razu, że „Odpowiedź” mnie rozczarowała. Może nazbyt wiele od niej oczekiwałam. Z pewnością zawiąła tu owa legenda, która każe spodziewać się, Bóg wie jakich rewelacji po zasłużonym pisarzu węgierskim. „Odpowiedź” posiada dwa wątki fabularne: jeden z nich związany jest z osobą emerytowanego profesora Farkasa, drugi — z ubogą rodziną Kópe, a właścicielem z synem wdowy Kópe, którego ma imię Balint.

Sprzeciw budzi już pierwsza scena, która wydaje się z psychologicznego punktu widzenia zupełnie

nieprawdziwa. Mały Balint przychodzi do kuchni pańskiej, gdzie dozorczyńni pieczą pachnącą wspólnie kaczkę. Balint jest tak głodny, że aż mu burczy w brzuchu. W domu zjadł zaledwie parę suchych kartofli. Dozorczyńni wdają się z nim w rozmowę. Pyta: chce ci się jeść? Chłopiec: nie. Dozorczyńni: jadłeś co? Chłopiec: jadłem. Dozorczyńni: więc nie chce ci się jeść? Chłopiec: nie. Dozorczyńni: a może cię po prostu widać? Chłopiec: nie, nie będę jadł. Otóż cała ta scena, która w powieści zajmuje kilka stron i napisana jest z całym naturalistycznym sztafagem, wydaje mi się od początku do końca fałszywą. Balint, któremu książki skreca głód, nie mógł się tak zachować. Mógł się opierać, ale w końcu uległ na pewno. Jest to przecież mały chłopiec, który nie wie jeszcze, co to znaczy ambicja, udawanie sytego, nie zna ceny upokorzenia. Jemu się chce jeść i gdy go częstują — bierze i je. Przyznał się, że scena ta ma nie być zderzaniem. Tam u licha, to przecież nie opis żywej istoty, lecz jakieś powzięte z góry założenie, przypominające tak dobrze rozmaite schematy z bliższej i dalszej przeszłości.

W ogóle opisy otoczenia Farkasa, dysponującego służbą i lokalem w libelii oraz opisy biedoty, nie mającej co do ust włożyć, tak bardzo przypominają nam wiele innych znanych powieści, że nierzadko nie są nas w stanie zaskoczyć. To wszystko bardzo dobrze wiemy, a konwencja, w jakiej przedstawia Tibor Dery środowisko i bohaterów, nie otwiera żadnych nowych horyzontów. „Odpowiedź” liczy blisko 500 stron druku, jest bardzo rozwlekła, a nawet, co tu gadać — po prostu nudna. Oczywiście, napisana jest z talentem i solidnością wręcz instrykcyjną. Tibor doskonale zróżnicował dialogi, które służą nie tylko popychaniu akcji do przodu, ale także charakteryzują życie wewnętrzne bohaterów. No tak, to prawda. Ale, mimo to, nie można oprzeć się wrażeniu, że to proza bardzo staroświecka. Przy lekturze książek tego rodzaju widać, jak inny jest dzisiejszy model literatury. Powieść-rzeka, operująca powolną przebieg wydarzeń, natrafia na opór. Daj mniej, niż kiedykolwiek, obchodzi nas opis wewnętrznej świadomości, który tak wspaniale pokazuje film, operujący ogromnymi możliwościami technicznymi. Nas dzisiaj obchodzi nade wszystko wewnętrzne życie człowieka, którego nie odkryje żadna kamera, żaden chwyt techniczny. Odkrywania tego życia wewnętrzne oczekuje czytelnik od pisarza. Odkrywania i wzbogacania go. Wzbogacania i ujawniania jego nieoczekiwanych możliwości.

*Jan Kłopotowski*

## Notatnik KULTURALNY

### NIEDZIELA

Dia odmiany trochę skromnie towarzyskiej. Z soboty na niedzielę uroczystość jubileuszowa w Teatrze Nowym. Trochę gości oficjalnych, parę osób z prasy, nastrój ciepły, niemal rodzinny. Krótkie przemówienia, sporo odznaczeń, premii. Aktoży w sali: panowie na czarno, panie w dekoltach, ale suknie krótkie, jedynie Janina Jabłonowska w rudej kołnierze i powłóczystej czarno-złotej szacie. Kazimierz Dejmek stoi sobie do odznaczeń skromnie na szarym koncu, ubiór też na nim szary. Dopiero z bliska widać co to za pyszny ciuch: na ciemnoszarym tle gęsty, nierówny biały przątek. Trochę wytysiał (Dejmek nie ciuch) ale ma nadal rysy młodego chłopaka. Dużo uroku. Zachował prostotę i szczerść: z miejsca powiedział mi, że strasznie wychudłam. Pytam o wrażenia z Włoch. Zgadza się to z relacjami prasowymi: w Polsce otrzymał kopię pisma od jednego z dostojników Kościoła, przesłaną do władz, mówią-

ca o szkodliwości „Historii o Chwałebnym Zmarłychwstaniu Pańskim” dla interesów Kościoła. W Rzymie prasa papieska przyjęła „Historię” bardzo ciepło. Słowem tu szkodli, tam sprzyja. Ze też ta Polska zawsze być musi plus catholique que le pape. Po kolacji tańce. Niedźwiedzowaty na pozor Ludwik Benoit patrzy przez chwilę sennym okiem na parę przebiegających nogami, potem wstaje i mówi: „Czekajcie, ja wam pokażę jak się tańczy”. Wziął sobie jakąś nastolatkę i rzucając wesoło. Wywija nią — sam jak szesnastolatek. Pani Ewa Z. w białej sukni, tańczy boso (w pończochach). „Buciki mom trochę ciasne”? Ale to nie „Wesele” tylko, że partner, zdaje się, trochę za niski, trzeba było zezuć szpilki.

### PONIEDZIAŁEK

Czy diabeł jest realistyczny? Odpowiedzieć sobie na pytanie zwiększając wystawę sztuki ludowej w sali ZPAP w parku Sienkiewicza. Ekspo-

zycja ta mówi nie tylko o fantazji, bogatej wyobraźni ludowych artystów, o umiejętności zestawienia kolorystycznych; mówi o instynktownym wyzuceniu tego, co się nazywa sztuką deformacji i syntezą, mówi także o prądach nadrealizmu, plądowego i twórczego kierunku, odżywiającego ciękawie w sztuce współczesnej.

Zobaczone te różne uproszczone „macierzystwa” „diabły”, rzeźby-sceny, rzeźby-legendy, a unacnością się wam jeszcze raz drogi artystycznego myślenia z jednej strony wielkich Chagallów, z drugiej nie mniejszych Moore'ów, dla których bądź to wyobrażenia ludowa, bądź to twórczość prymitywna, była punktem wyjścia i zasadą rozwoju własnej sztuki. Po obejrzeniu takiej wystawy okazuje się, że wiele z tego, co niektórym wydaje się sztuczne, udziwnione, metaforyczne, aluzyjne, mierzalisticzne — zawarte jest w naturalnym myśleniu i widzeniu człowieka prostego, jakim jest artysta ludowy.

### WTOREK

Mamy już wyniki katowickiego festiwalu sztuk rosyjskich i radzieckich. Jedną z nagród zespołowych „brzymał” korszaliński Teatr Dramatyczny za realizację

współczesnej sztuki radzieckiej „Sumienie”. Ominęły więc Łódź nagrody zespołowe, indywidualne nagrody I stopnia. Dla naszego Teatru im. Jaracza nagrodę drugiego stopnia za reżyserię „Wasy Zelenowej” zdobyła warszawska (jakby nie było) reżyserka Maria Wiercińska, także druga nagrodę aktorską — Ewa Mirowska. Laureatkom serdecznie gratulujemy. A swoją drogą, kołniani teatralicy, dystansujcie nas to Poznań, to Koszalin. Czy doświadczenia wyniesione z festiwalu kalskiego nie ram nie powiedziały? Znaszemy na laurach? Dobranoc.

### ŚRODA

Będziemy mieli piękną imprezę. W dniach od 30 listopada do 6 grudnia Ogólnopolski Międzyczelniany Konkurs Muzyczny Dawnej i Festiwal Polskiej Muzyki Barokowej. Protektorat Ministerstwa Kultury i Sztuki, skład komitetu honorowego, m. in. I sekretarz KŁ PZPR Michałina Tatarówna-Majkowska, przewodniczący MRN mgr Kazmierczak, i świętne jury (a w nim: Konrad Drzewiecki, Irena Dubiska, Jan Eklar, Władysław Kędra, Maria Wilkomirska) mówią o wielkiej wdze przywiązywanej przez miasto do tej imprezy. Nasłuchamy się Bacha, Haendla, Rameau; chora-

łów, oratoriów, psalmów; sonat, fug, toccat, klaviersu, organów. W przeciwieństwie do festiwalu piosenkarskich czy jazzowych, wstęp na koncerty będzie bezpłatny. Łódź powinna sobie wysoko cenić ten fakt, a społeczeństwo — skwapliwie przyjąć ten dar. Powinniśmy być rozmarzykowanymi, zasłuchanymi, rozbieganymi za możliwością usłyszenia starych mistrzów, bez których kultura muzyczna nie istnieje.

### CZWARTEK

A może byśmy z okazji wystaw, festiwalu, przyjazdu gości, pomyslieli trochę o łódzkich neonach? Czy widzieliście coś brzydszego niż buraczkowy krawaś i cała ta żółto-czerwono-zielona, fatalnie skomponowana reklama odszczepiaczą od kupowania Kos — Krawa na Piotrkowskiej 183, albo vis a vis reklama MHD zniechęcająca do kupna pstręgi kupy bezładnie porozrzucanych w powietrzu buczków? Goethe wprowadził powiedzial. „Wiecej światła”. Ale czy mogli przewidzieć co z tego wyniknie?

### PIĄTEK

Na „ŁÓDZKA JESIENŃ POETYCKA MŁODYCH” organizowaną w dn. 25. XI, przez Dziennik Łódzki i Związek Literatów zaproszono z „Odglasów” osobiste i jedynie

Redaktora Naczelnego. Współczuję mu. Jest na urlopie i chce mieć informację o „JESIENI” bezdla musiał specjalnie przyjechać z Jugoślawii na jeden wieczór. A jeżeli nie przyjedzie — czyja to znowu będzie wina, że nie o tej imprezie „Odglasów” nie napisze?

### SOBOTA

Dom Kultury na Traugutta, wystawa techniki teatralnej NRD. Roi się od personelu technicznego teatrów łódzkich. Oglądają, macają, pukają i wachają się — od urzędów służących do mocowania dekoracji po modele kartofli, parówek i scenicznych śledzi. „Patrioci” mówią „my robimy wszystko to same i nawet lepiej...”. Ale po cichu wszyscy trochę zazdroścą możliwości zastosowania do budowy dekoracji, mebli, kostiumów sztucznych tworzyw, folii, polichloru winylu, papek, plynów. Ktoś macza palec w szarej papce, ktoś w białej, pyta do czego to, ktoś odpowiada — do gipsowania ust. Ciężar pamięci. Ktoś bierze formę półkuli przypominającą kobiecą pierś wyprodukowaną z folii. Protestuje: już ja tam wolę takie jakie stworzył Pan Bóg. Konserwatysta, psalakość.

### OBSERWATOR



Przedstawiam  
Państwu  
opowiadanie  
którego nie  
pozwolili mi  
zrealizować w TV

*Alfred Hitchcock*

Włożył pistolet do szuflady i zasunął ją.

Nie, nie w ten sposób. Luiza umrze i wszystko się skończy i nie będzie cierpieła. A przecież trzeba zadać jej ból, który będzie ciągnął się w nieskończoność podsycany samą wyobraźnią. Jak wydłużyć to cierpienie? Jak?

Mężczyzna stojący przed lustrem w pokoju sypialnym starannie zapinał mankiety. Czekał dość długo nim usłyszał jak dzieci przebiegły ulicą. Po ich wrzasku można było poznać jaki nadszedł wieczór. Rok już prawie się kończy. To ostatni dzień października: białe maski, wydrążone dynie ze świecami w środku.

Poprawił czarny krawat. O, gdyby to była wiosna. Kiwnął głową w stronę swojego odbicia. Popatrzył na siebie. Tak, wtedy może byłaby jakaś szansa, ale w ten ostatni wieczór, kiedy cały świat płonął i rozpadał się w gruzy. Nie było zieleni wiosny, świeżości, nadziei.

Usłyszał lekkie kroki biegnące przez hall swojej ośmioletniej córki. Marion przez cały ten wieczór wbiegała do domu, zmieniała maskę i znów wbiegała na ulicę. Prosiła go, żeby pomógł jej wybrać najstraszniejszą. Wreszcie zdecydowali, że maska kościotrupa będzie najodpowiedniejsza. I rzeczywiście, wyglądała przerażająco.

Zobaczył w lustrze swoją zamysloną twarz. Nigdy nie lubił października. Przypominał sobie, że kiedy był małym dzieckiem i leżał na stole opadłych liści przed domem swojej matki, wtedy usłyszał wycie wiatru i zobaczył nagie, jakby martwe, gałęzie drzew. I zaczął płakać. Od tego czasu, ten przeraźliwy smutek nawiedzał go co roku. Mijał dopiero wiosną.

Ale teraz to już nie było to. Czuł, że nadchodzi ostat-

nia jesień i że nigdy więcej nie będzie wiosny. Zamknął się w pokoju i płakał przez cały wieczór, jednak na twarzy nie było żadnych śladów. Wszystko pozostało tam w środku.

Kiedy wkładał marynarkę w drzwiach stanęła Marion w swojej masce kościotrupa na twarzy.

— Jak ja wyglądam, tatuśku?

RAY BRADBURY

## JUTRO BĘDZIE LISTOPAD

— Wspaniale! Spod maski wychodziły jasne włosy, a w otworach śmiały się niebieskie oczy. Westchnął. Marion i Luiza — to one oskarżały go jako mężczyznę. Nie wiedział dlaczego tak się stało, jednak lekarz powiedział wtedy:

— Bardzo mi przykro, panie Wilder, ale żona już nie będzie mogła mieć dzieci. To jest ostatnie.

— Naprawdę? — A ja chciałem chłopca... Tak było osiem lat temu.

Pochylił się i dotknął ręką maski na twarzy Marion. Zrobiło mu się jej żal, bo była pozabawiona ojcowskiej miłości, oddzielona od niego całkowicie przez chciwe uczucie kochającej ją matki. Kochałby to dziecko, gdyby nie Luiza. Tak, ona na samo wspomnienie o tym, że musi urodzić dziecko drżała ze strachu. Nie chciała. Wymógł je na niej siłą. Od tamtej nocy, aż do chwili, kiedy urodziła się Marion, Luiza oddzieliła się od niego i zamieszkała w drugiej części domu. Myślała, że umrze, kiedy nadejdzie ten dzień, którego oczekiwała z przerażeniem. Nienawidziła swojego męża za to, że ją skazał na śmierć, żeby tylko mieć syna.

Ale Luiza nie umarła. Popatrzyła na niego zimnym wzrokiem, kiedy odwiedził ją w szpitalu. Odrzuciła jego rękę, gdy chciał dotknąć różowego policzka dziecka. To była kara dla niego za jego egoizm.

A teraz jest znowu październik. Pomyślał o innych takich samych miesiącach, które przeszły wypełnione przeraźliwie długą zimą. I tak rok za rokiem miesiące ciągnęły się w nieskończoność przyciśnięte do ścian domu przez śnieg, który nie przestawał padać. A on był tam w środku uwięziony przez kobietę i dziecko i nie był kochany. W ciągu tych ośmiu lat, było kilka przerw: wiosna i lato. Wtedy zniemawidzony mężczyzna usiłował w rozpaczliwy sposób wyrwać się z tego beznadziejnego położenia.

Ale zimą nie było spacerów ani wycieczek, tak jak nie było liści na drzewach, a życie, jak jesienne drzewa, było puste. Można było zaprosić znajomych, ale oni niechętnie wychodzili z domu w zimowe wieczory.

I znowu będzie zima, ósma z kolei. Wiedział, że to koniec i że dłużej już tego nie wytrzyma. To coś całymi latami narastało w nim, a dziś wieczorem nastąpi wybuch, który wszystko zakończy!

Na dole ktoś głośno zadzwonił. Luiza poszła otworzyć. Marion bez słowa zbiegła na dół, żeby przywitać pierwszych gości. Usłyszał okrzyki radości. Wyszedł na schody. Luiza stała na dole i uśmiechała się do dzieci.

Wahał się. Przecież mógł spać w walizce i wyjść. Dlaczego tego nie zrobił? Nie. Luiza musi być ukarana tak samo jak on. Jeżeli od niej odejdzie, ona wcale się tym nie zmartwi. Co więcej, ucieszy ją to. Nie, ona musi poznać, co to jest cierpienie. W jaki sposób to zrobić? A może odebrać jej Marion, tak po prostu. Tak, tylko w ten sposób. Zabrać Marion. To ją zabił. Trzeba odebrać jej Marion.

— A, witam! — zawołał. Luiza nawet się nie obejrzała.

— Dobry wieczór, panie Wilder! — pokrzykiwano do niego kiedy schodził na dół.

Po małym przyjęciu, które urządzono dla dzieci, rodzice pozostali w pokoju. Rozbawione dzieci, otoczyły go.

— A teraz do piwnicy — krzyknął — tam jest grób czarownicy!

Piszczaly z radości. — Wy, którzy tu wchodziście, porzućcie wszelką nadzieję.

Zgasił światło i tylko świece płonęły. Po kolei wszyscy schodzili na dół. Marion stała obok niego, a Luiza i inni rodzice zatrzymali się przy schodach. Wziął Marion na ręce. Wrywała się. Czuł zapach cementu i słyszał wycie wiatru, tam, pod gwiazdami października.

— Proszę o ciszę!

Dzieci umilkły. Siedziały w oczekiwaniu pod ścianami. Bały się trochę. Kazał wygaszać światła i było zupełnie ciemno. Usłyszały zgrzyt ostrzonego noża na glinianym naczyniu.

— Czarownica nie żyje — oświadczył.

Dzieci pisnęły. — Czarownica nie żyje, została zabita. A oto nóż, którym została zabita.

Podszedł bliżej i podał pierwszemu dziecku nóż, który oddawał sobie z rąk do rąk wśród okrzyków i komentarzy.

— Czarownica nie żywa, a to jest jej głowa — szepnął i podał coś najbliższemu dziecku.

— Ja znam tę zabawę — krzyknęła ktośś. — Podaje się wnętrzności kury i mówi się, że to są wnętrzności czarownicy. Robi się głowę z gliny i mówi się, że to jej głowa. Podaje się kamyk i mówi się, że to jej oko, podaje turetkę z puddingu mówi się, że to jej żołądek. Ja znam tę zabawę.

— Cicho, bo wszystko zepsujesz — powiedziała jakaś dziewczynka.

— Czarownica nie żyje, odcięto jej głowę — mówił i podawał coś dzieciom. Niektóre wyskakiwały z koła, by nie dotykać tego, co było mokre i mięsiste.

— Helenko, to tylko kurze podroby. Nie bój się! — krzyknął jakiś chłopak.

— Znalazła mordercę, co jej wydarł serce — ciągnął dalej Wilder. To coś krzątało wśród śmiejącej się i pokrzykującej ciemności.

— Marion, nie bój się, to tylko zabawa — powiedziała głośno Luiza.

Marion milczała.

— Marion, boisz się? — spytała.

Nie było odpowiedzi. — Nie martw się, ona się nie boi — uspokajał ją Wilder.

— Marion, Marion — za-



Rys. Jan Lenica.

wołała Luiza — Marion, odpowiedz, jeżeli się nie boisz. Marion milczała.

— Marion, czy jesteś tu? — krzyknęła Luiza.

Zapanowała cisza.

— Gdzie jest Marion? — Luiza była zaniepokojona.

— Była tu — powiedział chłopiec.

— Może jest na górze

— Marion!

W dalszym ciągu Marion nie dawała znaku życia.

— Marion, Marion! — wołała Luiza.

— Zapalmy światło — powiedział jeden z gości.

— Nie — Luiza ciężko dyszała — nie, nie zapalajcie światła, nie zapalajcie światła, o Boże, Boże, nie zapal-

ajcie światła, proszę, nie zapalajcie światła, nie zapalajcie! — Luiza głośno krzyczała.

Wszyscy zamarli z przerażenia. Czekali jaki będzie koniec tej zabawy. Wiatr wył, bębniąc po dachu. Pachniało stępną, wydrążonymi dyniami i tymi przedmiotami, które trzymali w rękach.

— Pójdę na górę i zobaczę! — krzyknął chłopiec. Biegł po pokojach i wołał: Marion, Marion, Marion! Wreszcie wrócił do ciemnej oczekującej piwnicy.

— Nie mogłem jej znaleźć. Wtedy ktoś zapalił światło.

Przełożył z angielskiego  
ROMAN GORZEŃSKI

### Fraszki Jana Czarnego

TAK SAMO

Zycie tak samo ściera  
tchórza i bohatera.

MUZYKALNOŚĆ

My nie jesteśmy chamy,  
my także Bacha słuchamy.

Lewym  
okiem



SIOSTRA PRZYJEŻDŻA!

O najważniejszych wiadomościach mawiało się kiedyś, że należy je zapisywać w kominie. Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem sens tej ludowej mądrości. Dlaczego w kominie? Kto to będzie czytał — krasnoludki? Tam się przecież po paru dniach zakopci wszystko na czarno i koniec z napisem!

To już lepszy pomysł miał listonosz, który na moich świeżo malowanych drzwiach napisał niedawno kopciowym ołówkiem, od strony — oczywiście — korytarza, że mam się zgłosić po odbiór listu poleconego. Słusznie, że na drzwiach. Papieru należy oszczędzać. Gorzej, że listonosz kłamał i że pobiegłem na pocztę niepotrzebnie. Nie tam o liście nie wiedzieli, natomiast po trzech dniach wręczył mi go — wyjąwszy z czap-

ki — rodzony dozorca. Połowa wiadomości jeszcze była aktualna.

Tak więc pocztą włączyła w orbitę swych działań i praktycznie wykorzystala drzwi oraz czapkę dozorcę, czy raczej — pardon — gospodarza domu. Czasem sięga też do innych metod; również pomysłowych i umiających życie, nie ograniczając się do tak nudnego systemu; jak rozłożenie poczty do skrytek, bardzo porządnie wiszących na samym dole.

— Dzieci, wyjmą, a będzie na mnie — tłumaczy się potem doręczyciel i żeby tego uniknąć oddaje pocztę od razu dzieciom do ręki. Albo jednemu z nich, najbardziej reżolutnemu. Reżolutny ma już taką kolekcję pocztówek; a jego mama zatrzymuje mnie, na przykład gdy wracam z żoną z zakupów, to znaczy gdy oboje jesteśmy w fatalnych humorach, i wręczając kartkę dobrodusznemu informuje: pańska siostra przyjeżdża do Łodzi, wie pan? Ta z Warszawy...

Oczywiście, mama reżolutnego nie wie, że moja żona wie, że wcale nie mam w Warszawie siostry. Ludzie tak teraz o sobie nie wiedzą! Aż trudno mieć za złe, że korzystają z okazji; żeby się jednak co nieco dowiedzieć. Jeśli okazję tę stwarzają listonosze, przewziwają w ramach współuczestnictwa nazewnictwa zawodów doręczycielami — to i dobrze, to przyczyniają się do zdzierżgnięcia sąsiedzkich znajomości.

Piękna są trabki pocztowe mistrza Ildofona. Tym piękniejsze, że mówią o poczcie sprzed stu lat, konnej, więc kursującej niezwykle szybko i re-

gularnie. Mógł wtedy amant pisać co dzień do swej ukochanej długi, płomienny list i otrzymać nazajutrz odpowiedź. Dziś panna otrzymalaby po miesiącu trzydzieści listów naraz, oświadczyłyby popłatałyby się z zerwaniem, tęsknota z czymś zupełnie przeciwnym.

Wszystkiemu winne dzieci. Przez całe lata kompletowałem sobie pewien tygodnik — aż do czasu, gdy ulegając opinii otoczenia, zamówiłem go w prenumeracie. Z tego okresu komplet świeci łukami nie do wypełnienia. — Dzieci wyciągają, panie, wiem co mówię — twierdził funkcjonariusz poczty. Ponieważ nie udowodniłem, że pismo nie zostało wcale włożone do skrytki, więc widocznie funkcjonariusz miał rację. Nie przekonała go wizja lokalna, podczas której obydwa nie potrafiliśmy nic ze skrytki wyciągnąć. — Dzieci mają sposób! — powiedział i odszedł z wygraną miną. Teraz dokupuje zwyciężnie cztery niepotrzebne pisma i dostaje tygodnik w kiosku. Też mam sposób.

Zagładanie do skrytki za każdym powrotem z miasta stało się już naszym półświadomym odruchem. Nie martwimy się. Takim samym odruchem stanie się za rok — dwa zaczepianie wszystkich dzieci wokoło pytania, czy nie mają dla nas listu; oraz czytanie drzwi i zagładanie dozorcem pod czapkę.

CWIEK